

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 54.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8,  
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 24 września 1860.  
6 października  
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie  
rocznie rsr. 12, półroc. rsr. 6, kwartalnie  
rsr. 3 — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

## TREŚĆ NUMERU.

Bitwa pod Cecorą (z drzeworytem).— Kronika tygodniowa.— Kościół dominikański w Krakowie (z drzeworytem). — Poświęcenie kościoła w Suchedniowie (z drzeworytem). — Tablica erekcyjna i słup graniczny w Radłowie (z czterema drzeworytami). — Nad stawem, poezya. — Żoliborz (z drzeworytem).— Kilka słów o szaranczy. — Szachy. — Rebus.— Siła złego na jednego, dialog.— Hymn, poezya.— Korrespondencya od redakcyi.—Doniesienia.

## BITWA POD CECORĄ.

Chcąc wiedzieć wszystkie przyczyny wyprawy, która zakończyła się klęską naszych w bitwie cecorskiej zwaną, potrzeba się cofnąć kilka lat w tył i określić stosunki z ościennymi państwami.

Od śmierci Władysława Warneńczyka Polska pozostawała z Turcją na stopie pokoju o tyle przynajmniej, iż nie przychodziło do otwartego starcia między obu narodami. Nie brakło jednak żywiołów zbliżających wybuch; dowodem iż co chwila widzimy to w Krakowie, to w Carogrodzie posłów wznawiających przymierza, których też we wspólnym interesie stale dochowywano przez dwa blisko wieki. Opoką o którą rozbić się miała sztucznie podtrzymywana zgoda dwóch państw, były krainy naddunajskie, znane pod nazwą Multan i Wołoszczyzny, o zwierzchnictwo nad którymi toczył się pomiędzy Polską i Turcją ustawiczny spór, chwilowo przerwany tym, iż Zygmunt I i Soliman zgodzili się, aby gospodarowie odbywali rządy dziedzicznie, za wspólnym obu monarchów potwierdzeniem. Umowę tę, dochowywaną ściśle przez obie strony za Jagiellonów i Batorego, pierwsza zerwała Polska, nie mogąc powstrzymać obywateli swoich od samowolnych wypraw na ziemię mołdawską za czasów Zygmunta III. Wprawdzie rząd nie przyjmował odpowiedzialności za te awanturnicze postępowania pojedynczych panów, nie troszczył się o ich los, zagroził nawet karą prawem na sejmie 1616 r. uchwalonem; ale dla Turcyi było to dostatecznym, że ich do posłuszeństwa skłonić nie umiał, bo dzielne a niesforne rycerstwo nasze, bez względu na postanowienia sejmowe i nierówność sił, rzucało ustawicznie rękawicę

ottomańskiemu państwu, a z drugiej strony też samo czynili Kozacy polscy, trapiąc wybrzeża morza Czarnego i naigrawając się w oczy samemu padyszachowi. Turcyja wtedy, nie mogąc doczekać się od Polski wy-

miaru sprawiedliwości, postanowiła sama ją sobie wymierzyć; uczuła się rozwiązana z traktatów pokoju. Chmura wojenna ciągnęła nad Dniestr. Polska niedawno ze Szwecją i Rosją tryumfująca, ale wyczerpana, nie rada była wdawać się w wojnę z najgro-

źniejszym podówczas mocarstwem, zwłaszcza iż się niezupełnie jeszcze uspokoiła od granicy wschodniej. Z tym wszystkiem wojna dla obrony granic została uchwaloną przez stany; lecz wysłany nad Dniestr hetman Żółkiewski w roku 1617 miał sobie przez króla tajemnie zaleconem unikać wojny i nowym jakim traktatem przedłużyć o ile można najkorzystniejszy pokój. I tak się też stało. Hetman stojący obozem pod Buszą, przy ujściu Morachwy do Dniestru, zawarł z Iskinderem baszą, renegatem węgierskim, ugody, która wprawdzie przerywała na chwilę kroki wojenne, ale poniżała Rzeczpospolitą. Polska mocą tej ugody zobowiązała się wytepić nawet Kozaków, gdyby nie przedstawiali czynić napaści na państwo ottomańskie; Tatarom opłacać haracz dla okupienia spokoju; oszczędzać Siedmiogród; a co największa, odstąpiła wpływ swego na Multany i Wołoszczyznę.

Tak poniżająca ugoda, zawarta bez wiedzy i zezwolenia stanów, oburzyła Rzeczpospolitą i oburzenie to najboleśniej uczuć się dało hetmanowi; a gdy wbrew tej ugodzie Kozacy nowych na morzu Czarnym dopuścili się napaści, niebawem powetowanych na Polsce rozpuszczeniem zagonów tatarskich po Ukrainie i Pokuciu, hetman z 23 tysiącami wyborczego wojska stojący na Podolu pod Oryninem, znowu pozostał bezczynnym, a to podwoiło przeciw niemu utyskiwania i gorzkie wyrzuty o niedołęztwo lub wyraźną niechęć dla Rzeczypospolitej. Było jednak w tych wyrzutach więcej zawiści niż prawdy. Żółkiewski, jako doświadczony mąż stanu, wiedział że Rzeczpospolita w kłopotach i rozprężeniu rządu nie wytrzyma ciężaru wojny z Turcją, która wymagała wielkich i przedłużonych ofiar; wolał więc trzymać się odpornie, niż rozjątrzać tak wielką potęgę, która, raz wybiegłszy,



STANISŁAW ŻÓŁKIEWSKI. (Podług portretu znajdującego się w zbiorze hr. ordynata Zamojskiego).

niewiadomo gdzieby się zatrzymała, i w tym też sensie tłumaczył się hetman na sejmie r. 1619, śmiało w oczy patrząc swoim przeciwnikom. Ten wykład rzeczy nie zaspokoił bynajmniej fantazy szlacheckiej, skłonniejszej do wymagań niż do poparcia, ale przedjedną hetmanowi umysły poważniejszej przyczynił się do uchwalenia skuteczniejszych środków obrony kraju, a nawet zwołania w razie potrzeby pospolitego ruszenia, co jednakże, jak większa część uchwał, pozostało bez wykonania.

Tymczasem nad rzeczpospolitą wisiał stan niepewności od strony Turcyi, nad hetmanem posądzenia o słabość i brak odwagi, które zatruwały mu życie pod koniec tak chlubnego zawodu. Król, serdecznie sympatyzujący z domem rakuzkim, wspierał go w wojnie przeciw powstałym Węgrom i Czechom i kierował się natchnieniami jego polityki, a że interesem tego domu było wplątać rzeczpospolitą w wojnę z Turcyą, która widocznie popierała usiłowania Węgier i protegowała Siedmiogród, przeto Zygmunt, jak poprzednio unikał starań wojny z Portą, tak teraz, iżby dogodzić rakuzkiej polityce, stał się do niej skłonniejszym. Z drugiej strony na Turcyą nie ustawali działać nieprzyjaciele Polski i Austrii, a przedewszystkiem książę siedmiogrodzki Betlem Gabor, który niegdyś pod Buszą posiłkując Iskendera baszę, już już przechylał się na stronę Polski i mało brakowało, że nie przeszedł do obozu Żółkiewskiego, a dziś, mężem Lisowczyków odcięty od Wiednia, utraciwszy koronę węgierską i zmuszony pozostawić naród pod panowaniem książąt rakuzkich, stał się śmiertelnym wrogiem króla i rzeczypospolitej polskiej. Przy takim z obu stron usposobieniu, sposobność do nowych kroków wojennych niedługo dała na się czekać.

Pod ten czas Porta mianowała hospodarem mołdawskim niejakiego Kacpra Gracyana. Był to jakiś włóczęga niewiadomego pochodzenia, z nazwiska zdaje się Włoch, a może i zwłoszczony Słowianin, kawałek kupca, kawałek Cygana; słowem rycerz od ciemnej gwiazdy, awanturnik bez talentu, ale przebiegłością torujący sobie drogę do kariery na świecie. Przebywając we Florencyi, chwycił się dziwniej spekulacji: wykupywał on od chrześcian jeńców tureckich, odsyłał wolnych do Konstantynopola, i tęp zwrócił na siebie uwagę Dywanu, który w nagrodę takiej sympatyj i zasług powołał go do służby, powierzał mu zaszczytne miejsca i kolejną oddał mu rządy Multan. Nie doszedł spokojnie Gracyan na tęp stanowisku; wiedział on dobrze iż łaska padyśzacha na pstryim koniu jeździ, wiedział że za łada podmuchem może być pozbawionym władzy i zgnić w jakim więzieniu; postanowił więc poszukać sobie łagodniejszego i sumienniejszego zwierzchnika, i to myśląc, oczy zwrócił na Polskę. W tym celu zawiązał on piśmienną korespondencją z hetmanem Żółkiewskim, usiłując zachować ją w jaknajgłębszej tajemnicy: ale wytropiły go czujne oczy Betlema Gabora i Tomży, zrzuczonego za sprawą Polaków hospodara Multan, którzy o zabiegach Gracyana dali znać do Carogrodu. Na wieść o tęp postanowiono tam natychmiast Gracyanowi władzę odebrać i oddać ją Aleksandrowi hospodarowi Wołoszczyzny. W obec takiego postanowienia pozostawało Gracyanowi albo uciekać na kraj świata przed stryczkiem sułtana, albo otwarcie traktować z Polską o pomoc i zwierzchnictwo. Gracyan spróbował tęp ostatniej drogi. Odezwa jego do stanów dobrze została przyjętą jak przez króla tak i przez szlachtę. Król widział w tęp możność uiszczenia się z chęci dogodzenia widokom domu rakuzkiego, za którym przepadał i którego poszeptami kierował się; nie zawadzało wreszcie, przy sposobności, dorzucić nowy brylant do królewskiej korony; szlachta chwyciła tęp okoliczność jako środek usunięcia zniewagi wyrządzonej krajowi ugoda buszańską; hetman nakoniec, jakiegokolwiek byłyby warunki wojny, nie mógł się cofać, choćby dlatego aby przytłumić gadaniny niegodne tak wielkiej chwały na jaką zarobił w czterdziestu czterech obozach. To wszystko razem wzięte przyspieszyło decyzją udzielenia pomocy Gracyanowi od rzeczypospolitej, a tęp samém wypowiedzenia wojny Turcyi, dla utrzymania stałego zwierzchnictwa nad tą ziemią, w której gospodarzyli ojcowie jeszcze od czasów Kaźmirza Wielkiego.

Skutkiem tego hetman wielki, mieszkający podówczas w Żółkwi, otrzymał rozkaz od króla, aby

w pole wyruszył z wojskiem, które ściągać miało i zbierać się pod Barem na Podolu. Żółkiewski, w zasadzie niezadowolony z tęp wyprawy, lecz ulegając tyłu względem, napisał do króla pożegnawczy list, poważny i pełen rezygnacji, polecił Bogu ukochaną małżonkę swoją Reginę, niewiastę zacności anielskiej, i zabrawszy ję na służbę ojczyzny syna jedynaka, udał się do wojska. Zebrało się go tam około ośmiu tysięcy, licząc w to i prywatne zaciągi: z takimi to siłami wyprawiano Żółkiewskiego, aby stawił czoło potędze straszego mocarstwa i baczył *ne quid respublica detrimenti capiat*. Gdzież wtedy podziało się pospolite ruszenie, gdzie trybunowie sejmowi gardlujący za honorem państwa, gdzie reszta braci od zachodniej granicy? Siedmdziesięcioletni starzec, wyszarżany na usługach kraju, prowadzący mu na ofiarę syna jedynego, w towarzystwie synowca, hetmana polnego i kilkunastu co najprzedniejszych rycerzy, szedł na czele garstki wyraźnie jakby na stracenie, a naród patrzył na to jak na widowisko, jak cyrk rzymski na swego gladyatora. Szaleństwem zdaje się podejmować podobną imprezę z tak nierównymi siłami, chociaż Gracyan zapewniał, że cały kraj wołoski jest w gotowości biedz pod sztandary wybawców: byli może tacy co przyjmowali za dobrą monetę te złote obietnice, ale do tęp liczby nie należał bynajmniej hetman Żółkiewski. Wiedział on dobrze co ma trzymać o tych obietnicach, ale prądu wojennego powstrzymać już nie mógł, przytęp gorąco pragnął życie pełne trudów i chwały uwieńczyć śmiercią męczeńską za wiarę świętą katolicką i kraj, walcząc przeciw pogaństwu, a pragnienie to wyraża on niejednokrotnie to w listach do króla i do żony, to w testamencie. Sędziwemu rycerzowi smutno było umierać bez blasku armatnich strzałów jaki towarzyszy konającym na polu bitwy, tęsknił więc za tym najświetniejszym pogrzebem, i dlatego nie ociągał się teraz, kiedy okoliczności gwałtem się nasuwały, wyruszyć ku wrzawie wojennej, która miała zagłuszyć szemrania niechętnych, wywołane postępowaniem jego pod Buszą i Oryninem.

W piérwszych dniach miesiąca września 1620 r., przeszedł hetman wielki na czele nielicznych hufców swoich przez Dniestr i stanął szczęśliwie w Jassach. Tu dopiero przekonał się o fałszywości Gracyanowych zapewnień; przygotowań do działania jakiego wymagał stan rzeczy nie było żadnych, wojska ani nawet zawiązku, a ludność, uwiedziona przesadzonemi wieściami o liczbie wojska polskiego, rozbójniczo tylko rzuciła się na tureckich mieszkańców Jass, ale w sposób rycerski wystąpić nie myślała. Sam Gracyan, rachując na większe siły Polaków niż te co przysły mu pomagać, zwątpił o swojej sprawie; zostawując więc obrońców własnemu losowi, zamyślał już o zabezpieczeniu swego i cichaczem przebieirał się ku Dniestrowi, aby ztamtąd udać się spokojnie do Niemiec. Ale wyrozumiał to hetman, wziął się do niego energicznie, tak iż Gracyan pozostać musiał chcąc nie chcąc i dostarczył całego kontyngensu mołdawskiego 600 jazdy. Można było tymczasem przewidywać, że Turcy nie będą tylko spektatorami tego co się dzieje za Dunajem; jakoż dochodziły już wieści o ich zbliżaniu się, liczba ich tylko nie była wiadoma. Dla większego bezpieczeństwa hetman wyciągnął z Jass i cofnął się o dwie mile, w szańce wzniesione niegdyś przez Zamojskiego na dolinie cecorskiej, znajome i samemu Żółkiewskiemu, który tam walczył wtedy jako hetman polny. Zaledwie szańce te zostały naprawione, kiedy pod niemi ukazał się nieprzyjaciel.

Nim przyjdziez nim do zapasów bojowych, zobaczymy bliżej te siły jakie Polska przeciw niemu wystawiła. Hussaryi, broni w Polsce najznamienitszej, liczone 1500 koni; piechoty cudzoziemskiego autoramentu 2,000 pod wodzą Farenbacha; Lisowczyków z walecznym dowódcą Walentym Rogawskim 1,200 koni; zaciężnej rajtaryi pod Denhoffem 200; artylerya wreszcie której, przewodził Szemberg, — było to wszystko codała rzeczpospolita. Resztę około 3,000 ludzi prawie samęj jazdy stanowili ochotnicy, po większej części staraniem Żółkiewskiego i jego krewnych ściągnięci. Obok naczelnego dowództwa hetmana wielkiego koronnego, dowodził także zięć jego Stanisław Koniecpolski, jako hetman polny. Oprócz tego widziemy tam znakomitości rycerskie, jako to: Samuel Korecki, Mikołaj Struś starosta halicki, Stefan Chmielecki, Odrzywolski, Aleksander Kalinowski starosta kamieniecki i inni, nie licząc syna Żółkiewskiego Jana

i synowca Łukasza: każdy z nich dowodził jakimś osobnym poczem, a wszystko to, mianowicie hussaryi, miała przy sobie mnóstwo ciurów i pacholców, ciężar i szkodliwą tylko w boju zawadę.

Wojsko to, zamknięte w szańcach, na widok nieprzyjaciela niecierpliwie rwało się do walki na otwarte pole, czemu jednak przeciwnym był hetman i chciał nieco przetrzymać bisurmanów; nie wiedział bowiem jeszcze dokładnie z jakimi siłami do czynienia mieć będzie, a przytęp oczekiwał ażali nie nadejdą jakie posiłki z kraju, o które z miejsca wyprawy kilka razy już pisywał do króla. Ale niepodobna było utrzymać niesfornego żołnierza: żwawa utarczka, pod wieczór dnia 17 września stoczona z korzyścią naszych, ośmieliła do większych kroków. Z zeznania jeńca tureckiego dowiedziano się, iż siły nieprzyjacielskie wynoszą przeszło 60,000, w pomoc bowiem regularnym wojskom Iskendera baszy przybył sułtan Kałgaj (Gałga) z hordą krymską i Nogaje ze słynnym murzą Kantemirem; wspierał ich prócz tego Aleksander hospodar wołoski. To jednak nie powstrzymało chęci wystąpienia do otwartego boju, podniecało ją owszem, tak iż hetman nie mógł się dłużej opierać ogólnemu życzeniu, bez narażenia się na samowolne działanie grożące nieporządkiem i klęską niezawodną. Nazajutrz więc zaraz, w dzień sobotni, uszykował wojsko i otoczywszy taborami, w Imię Boże rzucił je na nieprzyjaciela. Ażeby zrozumieć jakim sposobem wojsko naszo mogło jak tu, tak i w wielu innych razach, stawić czoło dziesięćkroć liczniejszemu nieprzyjacielowi, mianowicie tęp bisurmanom, i czterestokroć wychodzić zwycięzko, trzeba, oprócz względu na osobistą odwagę i zręczność żołnierza, mieć na uwadze i to, że Polacy nad tłumami pogan mieli materialną przewagę zbroi, ryszstunku, artylleryi, a tabor stanowił dla nich pewien rodzaj ruchomego szańca. Te zatem warunki poniekąd równoważyły liczbę. Takie to tabory, najeżone ze wszystkich stron działami i rusznicą, wyprowadził dzisiaj do bitwy Żółkiewski: skrzydeł ich pilnowała jazda, otworami dobywała się piechota; w razie potrzeby odwrotu tabor otwierał się na jęj przyjęcie i zamykał za nią niedostępne wrota. Tatarzy zapędzali się za nią w mniej strzeżone otwory, ale działa Szemberga rzucały ich o ziemię. Czas niejaki trwał ten porządek podług regulaminu strategicznego; lecz zwolna znikał w zamieszaniu, tak iż przyszło do ogólnej bitwy prowadzonej na oślep, bez ładu, ale z mężstwem i poświęceniem. Samuel Korecki, pod świeżemi wspomnieniami carogrodzkiego więzienia, rzucił się ku starszyźnie tureckiej, wyzywając do pojedynczej walki, ale ochotników nie znalazł. Inni wodzowie, których wymieniliśmy poprzednio, nie poprzestając na komendzie, ścierali się wręcz jak prości żołnierze. To tęp znaczna ich część, a między innymi młodzi Żółkiewscy, ponieśli rany; kilku pułkowników trupem legło; hetman polny, obiegając szyki dla podtrzymania porządku, ujrzał chorągiew polską w niebezpieczeństwie; na ten widok rzucił się w środek walczących i godło ojczyzny uratował, obie ręce obcinając Turkowi, który już je unosił. Bitwa trwała od południa do nocy; stanęło, jak się wyraża Żółkiewski w raporcie do króla — *aequo Marte* „zeszli oni do swych stanowisk, poszli i my do swego taboru.“ Pogan nabito do półczwarta tysiąca; nasi, oprócz znacznej liczby rannych, mieli przeszło trzystu zabitych.

(Dokończenie nastąpi.)

## Kronika tygodniowa.

O czytelnicy! wierzajcie mi, trzeba mi się zdobyć na wielką odwagę moralną, żeby jeszcze pisać dla was tęp biedną i ubożuchną kronikę tygodniową. Bo wystawcież sobie, dowiadując się rzeczy straszliwej i niepodobnej do wiary, rzeczy oburzającej i przerażającej cały mój systemat nerwowy, rzeczy jedném słowem, która mnie od razu o sto łokci w ziemię zagrzebuje i skazuje żywcem na wszelkie męczarnie upokorzonej miłości własnej. Moja kronika mogłaby być lepszą! Tak jest, znaleźli się ludzie surowego sądu, ludzie nietoleranci, ludzie patrzący na wszystko złém okiem, ludzie z żółciowem usposobieniem, którzy to potępiające zdanie o pracy mojej tygodniowej wyrzekli. A ja zarozumialec sądziłem, że już na świecie nic niema lepszego od mojej kroniki, że Szyller

i Bajron zagaśli przed nią, że nikt już nie chce czytać dziennikarzy paryzkich, że nieboszczyk Safir czytelnikom Tygodnika Illustrowanego, rozpieszczonym na mojej niezrównanej werwie, wydaje się nudnym, a na *Punch* angielski poglądują z obrzydzeniem. Jam mniemał to wszystko, a nagle z zenitu złudzeń moich do nadiru rzeczywistości strącony zostałem. Jakaż to niesprawiedliwość na świecie panuje! I dziwić się tu teraz że cyrk Billinga, posiadający za całe bogactwo półtora konia i ćwierć amazonki, że ten cyrk, który się nawet w Łowiczu do tego stopnia nie podobał, iż cały tłum spektatorów składał się tam z dwóch starozakonnych, jednego ekonoma, szwaczki miejskiej i dozoru policyjnego ustanowionego do czuwania nad cyrkowym porządkiem, że ten cyrk, powtarzam, chwalonym jest przez gazety. I dziwić się, że aż o trzech rozwodach w tych czasach mówią w Warszawie, z których podobno dwa za granicą poczęto, a jeden na miejscu uorganizowany został. I dziwić się, że oprócz dwóch obrazków pana Kostrzewskiego, na wystawie obrazów w bieżącym półroczu ani kawałeczka płótna zamalowanego nie sprzedano; że według najsumienniejszego wykazu, czerpanego z ksiąg rachunkowych księgarzów naszych, wypada po półtrzecia tomu na miesiąc nowości literackich polskich, rozchwytywanych przez gorliwych czytelników tutejszych; że październik u nas przemienił się na lipiec, a lipiec na październik; że jeden z uczonych tutejszych literalnie zjadł ząb na nauce, bo mu się przy historycznych badaniach ten traiczny wypadek zdarzył; że nareszcie w tygodniu zeszłym wypadał błogi dzień urodzin Tygodnika Illustrowanego, a żaden z czytelników nie powińszował mu nawet. Te wszystkie rzeczy, po zdaniu o kronice mojej wyrzeczonym, wydają mi się najzwyczajniejszymi faktami, codziennymi prawie koniecznościami życia naszego. Ale trudno, taki to już nasz los, nas wszystkich ludzi genialnych. Jesteśmy *zapoznani* (nowomodne wyrażenie), jesteśmy niepojęci, cierpimy nędzę, wytrzymujemy zawiść, umieramy w szpitalu albo z głodu. Tak jest, wszakże niedawno jeszcze, bo przed dwoma laty, umarł z głodu w Niemczech poeta Jan Burchard, autor Joanny Grey. Płaczećcie, o czytelniczki! nie z pominięcia na Burchardem, którego zapewne nie znaliście, ale z troskliwości o los mój przyszły. Lecz uspokójcie bojaźń waszą. Bogiem a prawdą, jedyny głód jaki, dotychczas przynajmniej, zagrażać może kronikarzowi, jest głód nowości, do których w publiczności naszej niepomahowany panuje apetyt. A ja na ten głód nie skarzę się jeszcze, bo choćbym tylko chciał robić ekstrakt z listów, które mi łaskawi korespondenci i korespondentki co chwila mię zarzucają, jużby mi na parę kronik tygodniowo starczyło. Ale niestety! Ileż to nieraz trzygroszówek na marne wyrzuconych! Bo i cóż ja na przykład poradzę pannie Ewelinie na to, że kobiety nie uczą prawa ani matematyki, i że niema u nas zwyczaju, żeby uczęszczały na prelekcje do akademii medycznej? Nie przeczę że kobiety mogłyby być wybornymi fizyologami, a nawet prosektorami, gdyby im to zatrudnienie do serca przypadało; ale niestety, u nas nie Ameryka, Trudno do antypodów regulować postępowanie nasze, bo wiadomo że ci ludzie znajdują się w położeniu odwrotnym od nas, więc nie dziw że im się czasem przewraca w głowie. Niechże więc tam kobiety tworzą sobie meetyngi, uczą się medycyny, prawa i wielu jeszcze innych pięknych i niepięknych rzeczy, a my pozostaniemy jak jesteśmy.

Dziwny proces ma być w tych dniach wytoczonym. Jedno z pism tutejszych donosiło przed 4laty, że czcigodnej pamięci Staszic, jako człowiek wielce dobroczynny, obdarował był jednego ze zdolnych a pracowitych rzemieślników summa dwudziestu tysięcy złp.; że za pomocą tej summy rzemieślnik ów sprawił sobie warsztat i dorobił się nawet małego mająteczku. Rzemieślnik ten, podobno znany tu dobrze niegdyś majster ślusarski, umarł przed kilkunastą laty, a obecnie, na zasadzie wiadomości drukiem ogłoszonej, do pozostałej po nim wdowy roszczą dzieci jej pretensją o zwrócenie im wspomnianej summy. Smutno żeby takie wypadki, zgorzenia podobnego rodzaju miały miejsce u nas, w narodzie słynącym z poszanowania związków rodzinnych.

Jako niezwykle fakt również i w zaprzeczeniu po części uzaleniom na oziębłość publiczności czytającej, na początku kroniki dzisiejszej umieszczonym, donoszę że nowy poemat Deotymy pod tytułem *Polska w pieśni* dość szybko jest rozkupowany. Przez

dwa tygodnie sprzedano już paręset egzemplarzy, a przechodząc przez saski ogród, zdarzyło mi się widzieć kobietę siedzącą na ławce i czytającą ten poemat. Jest to najlepszy dowód zainteresowania się publiczności, i Deotyma powinna to uważać za najmilszą nagrodę i zachętę do wytrwania na pięknej drodze jaką sobie obrała. Niejedną ciernistą próbę przeszła ona już, lecz mówi poeta:

Górującemu czołu nietyłe przystało  
Chodzić w wieńcu radości, jak w smutku osłonie.  
Więc nie kryj, nie depech smutku stopą zbyt zuchwałą:  
Skaleczysz się, nie przejdiesz przez cierniste błonie;  
Bo ten tylko zabłysnął wiekiutą chwałą,  
Który ciera z pod stóp wyjął, a włożył na skronie.

Zjeżdżają się powoli turyści nasi, pociągi kolei żelaznej z zagranicy do Warszawy przybywające codzień są liczniejsze. U wód galicyjskich więcej w tym roku było gości aniżeli w innych latach. W Ostendzie w przysłowie prawie weszło, że każda piękna pacjentka musi być Polką. Radzę pannom naszym, które uskarżają się na brak młodych ludzi mogących się u nas żenić, żeby jechały za granicę, bo tam co krok można spotkać jakiego Anglika, Niemca lub Francuza rozkochanego w Polce. Ale co mówię! Nie radzę im wcale tego, bo kobiety nasze są ozdobą kraju, najlepszą może częścią ludności tutejszej; szkoda więc każdej z nich, którąby związek małżeński za granicą żyć zmuszał.

Na dowód w jaki sposób cudzoziemcy uprawiają język polski, dajemy tu w wiernym przedruku etykietę odjętą od pudełka cygar defraudowanych, przesłaną nam przez jednego z korespondentów naszych. Etykieta ta, będąca tylko spekulacyjką na zamiłowanie nasze do wszelkiego zagranicznego oszukaństwa, znajduje się w drukarni Tygodnika i każdy ciekawy może ją tam zobaczyć. A ponieważ nie wszyscy zapewne czytelnicy potrafią zrozumieć ten niemiecko-duńskiego kroju styl polski i ortografią, dodajemy że fabrykant tych buraczanych cygar, lekając się żeby nie znalazł tutaj naśladowców i podrabiaczy, przestrzega swoim sposobem tytuniową polską publiczność.

#### OSTRZEGA.

W tym razniejszy czas jest bardzo bracno na nasie modrą Depot kartki, którą się na pudełkach, Hamburgskich, Bremskich, y Havana, Segar znajduję na wirazni wypis Ymnan nasych bacność dać, albowiem nę ktorzi kupcowę co my wyęmi, naznacę gatunki Segar' w Fabrikach ordinarn'ęch Segar fałsować dali, iako: Primera, Regalia... i wyle innych.

*Mundelius i Kolodzieyski w Niborku.*

Nie od dziś dają się słyszeć u nas uskarżania na brak zwierzyny. W istocie niema może kraju w którymby ona doszła do tak bajecznych cen jak w Polsce. A jednak kraj nasz dawniej obfitował w zwierzynę więcej niż inne, i łowy polskie, zwłaszcza na grubego zwierza, sławne były na całą Europę. Niejednokrotnie pisma publiczne podnosiły tę kwestyę; ale niestety, głos ich, jak to się zwykle dzieje, pozostał bez skutku. Trzebać jednak mówić prawdę, choćby jej nawet słuchać nie chciano; więc i my zamierzamy dzisiaj, zwłaszcza kiedy czas po temu, bo polowanie niedawno się rozpoczęło, rzucić garść grochu naszego na ścianę.

Zwierzyna polna i leśna, zupełnie prawie tak jak i domowe bydłęta, wymaga pilnego hodowania. Nie mówimy już nic o zwierzynach, nie każdy bowiem jest w stanie urządzać je podług wszelkich wymagań; ale trzebać pamiętać, żeby przynajmniej w czasie zabronionym nie pastwiono się nad temi mieszkańcami pól i lasów naszych, nie zastawiano na nie siideł, nie polowano na nie ukradkiem po nocach. Trudno wymienić jakie się w tym względzie nadużycia dzieją tam nawet, zkadby zbawienny przykład na resztę kraju płynąć winien. Wieleż to razy zwierzyna pojawiająca się na targach w czasie zabronionym chciwie rozkupowaną bywa, i nikt nawet nie zwróci uwagi zkad się wzięła. I jakież z tego skutek? Oto kiedy się rzeczywisty czas polowania rozpocznie, tak jak dzisiaj na przykład, w całym kraju brak zwierzyny zupełny; jeden zajacek na milę kwadratową, stadko kuropatw na całe nieraz dobra. Obywatele nasi skarżą się, a nie umieją temu zaradzić, bo sami nieraz zły dają przykład z siebie.

W Niemczech, Francji i Anglii zajace i ptastwo formalnie hodowane bywają; pamiętają o ichżywieniu, zostawiają je umyślnie dla nich na polu; mło-

dzieży nikt nie tępi, bo każdy dba tam o przyszłość. Szląsk nie tak daleki od nas, w tém samym znajduje się geograficznym położeniu, a tam zwierzyna przebywa wielkimi stadami i polowania na znaczną stopę można już urządzać. Bo oprócz użytecznej oględności, istnieje tam wpojone w lud poszanowanie cudzej własności, o które mało kto dba u nas. Tam nikt na cudzych gruntach bez pozwolenia nie poluje; a u nas można powiedzieć że tylko polowanie na cudzych gruntach jest pożądanem, i chociaż wszędzie równe ubóstwo pod względem zwierzyny, zdaje się jednak każdemu że u sąsiada większa obfitość niż u niego, że zresztą tym sposobem cudzym kosztem własnego się przyszczędzi.

To zupełnie tak samo się dzieje, jak i z hodowaniem ryb. Od kilkunastu lat ryby potrójnie u nas wzrosły w cenę, gospodarstwo rybne wszędzie prawie jest zaniedbane, a dzieje się to pomimo gorliwych usiłowań pana Higneta, który dowiódł że sztuczne rozplądianie ryb mogłoby być u nas z wielkim pożytkiem zaprowadzone. Korzystając z jego przykładu i pomocy, którą on obywatelom naszym tylokrotnie darmo ofiarował, posiadalibyśmy gatunki ryb nieznanne jeszcze u nas, a posiadalibyśmy je w niemałej obfitości i bez wielkiego zachodu. Wszakże są kraje przepelnione ludnością, jak Chiny np., w których ryby stanowią jedyne prawie pożywienie uboższej ludności; ale też tam gospodarstwo rybne z wielką urządzają starannością i cena ryb niższą jest od ceny zwyczajnego mięsa. To mięso zaś ciągle u nas drożeje, niejednokrotnie ryby z korzyścią mogłyby je zastąpić; ale cóż to pomoże, kiedy za nie potrójną i poczwórną jeszcze trzeba płacić cenę.

Zakrywam twarz szatą po tych skargach, naśladowając przykład pani Ristori w rolach tragicznych, i pocieszam się jedynie tém, że teraz wszędzie u nas instrumenta muzyczne podług jednego kamertonu urządzone będą. Może też skutkiem tej trudności jednostajnego uharmonizowania, będzie mniej muzyki w Warszawie: i to zawsze korzyść. Żeby to można jeszcze utworzyć kamerton na właścicieli domów w Warszawie; nie zawadziłoby to wcale, bo oddawna już zauważaliśmy, że zbyt wysoko stroją swoje instrumenta.

Niedawno jedna z gazet naszych, z powodu zbliżających się długich wieczorów zimowych, zwróciła uwagę na kwestyę taniego oświetlenia mieszkań. Ważna to rzeczywiście sprawa dla ludzi niezamożnych, zwłaszcza że dotychczasowe surrogaty świec i oleju (kamfina, fotożen) okazały się niepraktycznymi, a sprowadzony świeżo olej solarny nie został jeszcze dostatecznie wypróbowanym. Obecnie donieść możemy czytelnikom o nowym rodzaju lamp taniach i oszczędnych, które mieliśmy sposobność oglądać. Wynalazcą ich jest niejaki p. Borkowski, który otrzymał już w cesarstwie przywilej na wyrabianie takowych, przybył niedawno do Warszawy, celem rozpowszechnienia pomysłu swego i u nas. Konstrukcyi lamp tych opisywać nie będziemy, nadmieniamy tylko iż jest niesłychanie pojedynczą; że sztuka kosztuje od 30 do 50 kopiejek; że dając światło silniejsze i czystsze od zwyczajnej świecy stearynowej, wypalają (podług twierdzenia wynalazcy) tylko za pół grosza oleju na godzinę; że nie kopcą, nie dopuszczają zgęszczenia się oleju, a tém samym nie zanieczyszczają rezerwoaru i że nakoniec nie potrzebują oddzielnej podstawy, bo osadzić je można na każdym lichtarzu. P. Borkowski podobno zajmuje się już fabrykacją lamp tych w takiej ilości, że jeszcze przed zimą będzie mógł sprzedaż ich zarządzić, o czém zapewne w czasie właściwym pisma codzienne doniosą. Nie przesądzając więc wartości tego pomysłu, dopóki powszechniejsze doświadczenie nie udowodni jego praktyczności, robimy tylko uwagę, że chociaż lampy te, powyższej nieco cenie, wyglądają dosyć ozdobnie i nie zeszpecą nawet salonu, głównie jednak dla klasy niezamożnej, a mianowicie dla rzemieślników i włościan, zastąpienie lichego i kopcącego płomienia łojówek lub łuczycywa światłem tak taniem a nierówniejaśniejszém i czystsze, prawdziwem byłoby dobrodziejstwem, zwłaszcza że p. Borkowski, w broszurze przez siebie wydanej, podaje łatwy sposób otrzymywania oleju w małych ilościach z nasienia słoneczników i innych roślin rosnących bez uprawy. Nie możemy przeto jak życzyć mu powodzenia w tak pożytecznym, jak się zdaje, przedsięwzięciu.

### KOŚCIÓŁ DOMINIKAŃSKI W KRAKOWIE.

Jednym z najpiękniejszych kościołów, których liczbą Kraków słusznie pochłubić się może, był przed zniszczeniem w pożarze 1850 r. kościół dominikański, pod wezwaniem św. Trójcy. Dziś, po tej okropnej klęsce, tylko gruzy świadczą o dawniej jego wspaniałości, bo odbudowanie tak wielkiego gmachu wymaga znacznych kosztów i pracy długoletniej.

Ten wspaniały niegdyś, a dziś jeszcze swą wielkością imponujący budynek, jeden z najstarszych kościołów dawniej Piastów siedziby, był szacownym zabytkiem gotyckiej architektury w Polsce. Olbrzymi fronton, z którego dzisiaj zaledwie resztki niewywiezionych gruzów pozostały, zapelniały pięknie w kamieniu rzeźbione odrzwia, nad nimi ogromne gotyckie okno, pod sklepienie sięgające, a całość wieńczył lekko i ozdobnie wzniesiony mur szczytowy. Przed tym frontonem stoją mury dzwonnicy, która jakkolwiek piękna, lecz stylem nieodpowiednia reszcie kościoła, bo wzniesiona w XVI stuleciu.

Wewnątrz, podobnie jak wszystkie starogotyckie świątynie, dzielił się na: presbiterium, nawę główną i dwie poboczne, do których przytykały kaplice. Pięć gotyckich arkad oddzielało nawę główną od pobocznych. Tylna ściana presbiterium, teraz już zupełnie odnowionego, jest zakończona, podobnie jak główny fronton, murem szczytowym.

Piękny ten kościół fundował Iwo Odrowąż, biskup krakowski, roku 1223. Wtedy to panujący naówczas Leszek Biały, otoczony duchowieństwem, wła-

dzami miejskimi i pierwszymi pany, wprowadził uroczyście w te mury zakon dominikański. Roku 1227 wydał biskup Iwo przywilej na ten kościół księdom dominikanom, a św. Jacek, siostrzeniec biskupa, był pierwszym prowincjałem tego zakonu w Polsce.

Kilkakrotnie świątynia ta ulegała pożarom. Roku 1462 zgorzała prawie do szczytu, i dopiero w roku 1576 została odbudowana. W roku 1688 wewnątrz kościoła powstał pożar, który zniszczył wielki ołtarz „pozornie i kształtnie zbudowany“, jak piszą ówczesni, przytém stalla i wielkie organy; ostatecznie zaś uległ zniszczeniu w pożarze 1850 roku. Komuż z Krakowian nie tkwi żywo w pamięci ów okropny dzień 18 lipca 1850 r., dzień w którym połowa miasta legła w gruzach, a tyle rodzin zostało bez mienia i dachu?!

Pożar powstał o 1 godzinie po południu, daleko od miasta, bo aż na Krupniczej ulicy, w górnych młynach. W godzinę później, ogień pędem wiatru niesiony, ukazał się wewnątrz miasta na Wiślniej ulicy i Franciszkańskim placu, a jednocześnie ulice Gołębia, Bracka, Grodzka, Széroka, Stolarska i kościół dominikanów stanął w płomieniach. Ratunek był prawie niepodobny; zdołano zaledwie ocalić sklepione krużganki, kaplicę św. Jacka i Matki Boskiej Rożańcowej.

I miejsce gdzie się znajdowało tyle zabytków sztuki, tyle szacownych pomników, gdzie spoczywały prochy jednego z władców tej ziemi, gdzie



KOŚCIÓŁ DOMINIKAŃSKI W KRAKOWIE.



KOŚCIÓŁ W SUCHEDNIOWIE.



łożona, której kopułę wspierają cztery słupy z jednej sztuki marmuru wykute. W niej znajdują się pomniki książąt Zbarazkich: Krzysztofa, koniuszego koronnego, posła do Stambułu po chocimskim zwycięstwie, zmarłego 1627, i drugi księcia Jerzego Zbarazkiego, kasztelana krakowskiego, fundatora tej kaplicy, zmarłego 1631 r.

Kaplica św. Mikołaja, obecnie odrestaurowana. W niej znajduje się przesłonięte okno, przedstawiające Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus, a po bokach świętą Kunegundę i św. Jacka, malowane we Florencyi, a sprawione kosztem hr. Przeździeckich. Kaplica cała ozdobiona w stylu gotyckim i pięknym ołtarzem opatrzona.

Z wielkiej liczby pomników grobowych ocalały dotąd: Mikołaja Bogusza wojskiego lubelskiego, zmarłego 1560; Prospera Prowany, żupnika wielickiego, zmarłego 1584, będący w kaplicy Niep. Pocz. N. M. P. Niegdyś ściany tej świątyni zdobiły obrazy pędzla sławnego Tomasza Dolabelli, nadwornego malarza Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kaźmirza.

Krużganki klasztorne są całe wypełnione obrazami z dziejów zakonu dominikańskiego, malowanymi po największej części przez braci zakonu Kaźmirza Ciszowskiego. Między wielką liczbą nagrobków w tych krużgankach natrafiamy: Benedykta z Koźmina, Wojciecha Nowopolskiego, Piotra Słowackiego, Szymona Zimorowicza i innych.

Pierwszy fundusz na odbudowanie tej wspaniałej świątyni wpłynął w kilka dni po pożarze, kiedy ks. Karol Antoniewicz, na kurzących się jeszcze zgłiszczach, żarliwem słowem przemówił do zwątpiałyh rozpaczą serc Krakowian. Wówczas biędni pogorzeli ostatni grosz składali na tacy kwestarek, aby podźwignąć z gruzów jedną z najpiękniejszych świątyń starego grodu.

Wiele jeszcze lat upłynie, zanim ta świątynia wzniesie się w dawniej okazałości, chociaż wyznać trzeba, że księża dominikanie z mrówczą że tak powiemy wytrwałością prowadzą rozpoczętą fabrykę. Corocznie też znaczne składki wpływają na odbudowę kościoła, jednakże nie wystarczają na pokrycie ogromnych wydatków. W w tym roku rozpoczęto roboty solennem nabożeństwem, na uproszenie Boga, aby dozwolił szczęśliwie dokończyć budowy przybytku swojego.

## POŚWIĘCENIE KOŚCIOŁA W SUCHEDNIOWIE.

Poświęcenie kościoła filialnego górniczego w Suchedniowie, do parafii Wzdół, w powiecie opoczyńskim, gubernii radomskiej należącego, odbyła została w dniu 17 czerwca 1860 r. przez j. w. ks. J. Juszyńskiego, biskupa diecezji sandomierskiej, w obec władz miejscowych, urzędników górniczych i licznie zgromadzonego ludu.

Zanim przystąpimy do krótkiego opisu tej uroczystości, wypada nam wspomnieć słów kilka o samym kościele, który przed stu przeszło laty wzniesiony, teraz dopiero poświęconym został.

Napis łaciński na marmurowej tablicy, po lewej stronie wielkiego ołtarza istniejący, świadczy, że w r. 1758 została tu wmurowana kaplica pod wezwaniem św. Andrzeja, za zgodą i ku pożytkowi dusz pobożnych, przez Andrzeja Stanisława Załuskiego, biskupa krakowskiego, przy której jeden z o. o. bernardynów klasztoru św. Katarzyny przyjął obowiązek w każdą niedzielę odprawiać mszę św. i inne posługi duchowne miejscowej ludności górniczej świadczyć.

Pół wieku z górą stała ta kaplica bez żadnej naprawy, gdyż dopiero w r. 1801 krzyż na kopule wraz z banją przez burzę zerwany, za staraniem parafian, a głównie p. Michalskiego, ówczesnego possessora rewokacji rejowskiiej i wąchockiej, do pierwotnego stanu doprowadzony został. W r. 1808 w miejsce przyjeżdżającego, ustanowiono stałego kapelana.

W późniejszym czasie, skutkiem napływu ludności do Suchedniowa, oraz przyłączenia do tutejszej filii wiosek: Stokowca, Baranowa, Jędrowa, Gorczycy i Błota, stało się niemal koniecznym rozprzeźnienie zbyt małej kaplicy. Za staraniem hr. Henryka Łubieńskiego, naówczas wiceprezesa Banku polskiego, sporządzono anszlagi tak na powiększenie kościoła, jako i upiększenie onego, oraz wybudowanie probostwa.

W r. 1842 przymurowano nawę kościelną z dwiema bocznymi kaplicami i dwiema wieżyczkami z frontu w stylu bizantyjskim, wszystko kryte blachą cynkową; sprowadzono i ustawiono organ o sześciu oktawach, oraz zakupiono ze składek miejscowych urzędników obraz p. Łypaczewskiego, wyobrażający św. Barbarę patronkę górnictwa.

Na tém w owym czasie ograniczyły się roboty. Dopiero w r. b., staraniem naczelnika górniczego p. Szmiddeckiego, cały kościół został ozdobiony i zupełnie uporządkowany. Pozostają tylko jeszcze do osadzenia dwa dzwony, obecnie zawieszony na tymczasowem rusztowaniu drewnianem.

W sobotę więc, t. j. dnia 16 czerwca b. r., j. w. pasterz przybył do Suchedniowa o godzinie 12 w południe, i przez zgromadzony lud został odprowadzony do urządzonego na cmentarzu kościelnym pod namiotem ołtarza; kościół bowiem, jako nie poświęcony, był natenczas zamknięty. Tu miejscowy kapelan, ks. Eustachy Pińczewski, powitał go pięknymi i pełnymi uczucia słowy, jakimi zawsze do serc naszych przemawia, na które czcigodny pasterz odpowiedział w krótkich wyrazach, objawiając swoje podziękowanie tak księdzu Pińczewskiemu, jako i naczelnikowi Szmiddeckiemu, za ich gorliwość i starania około wykończenia kościoła, poczem obecnemu ludowi udzielił swoje pasterskie błogosławieństwo.

O godzinie 6 wieczorem tegoż dnia z całą pontyfikalnością odbyło się wniesienie relikwii śś. męczenników do wspomnianego ołtarza na cmentarzu kościelnym, przy których odprawiono solenne nieszpory.

Na drugi dzień, który właściwie był dniem konsekracyjnym, jego ekscellencya o godzinie 7 rano rozpoczął przepisane rytuałem kościelnym ceremonie, które trwały bez przerwy do godziny w pół do dwunastej i zakończone zostały summą z wystawieniem Najświętszego Sakramentu. Podczas tej summy miejscowi amatorowie wykonali mszę Krogulskiego. Kazanie miał ksiądz Ciechanowski, kanonik kolegiaty kieleckiej, proboszcz daleszycki, tłumacząc obecnym znaczenie niektórych obrzędów poświęcenia. Wieczorem były nieszpory, a następnego dnia, t. j. w poniedziałek, ks. biskup udzielał rano i wieczorem Sakrament bierzmowania. Pomimo niepogody, przeszło 3000 ludności na tę uroczystość się zebrało. E. B.

## Tablica erekcyjna z r. 1337 i słup graniczny z r. 1450 w Radłowie.

### I. TABLICA EREKCYJNA.

Pomiędzy zabytkami dawniejszych lat, mało u nas dotąd dawano baczenia na tablice erekcyjne, znajdujące się po niewielu kościołach i domach, przeznaczonych zwykle na jakiś cel publiczny, jak były n. p. bursy lub tym podobne zakłady. Takie przecież tablice są wszędzie cennymi zabytkami przeszłości, bo w nie artysta przelewał zwykle ducha sztuki swojego czasu, chcąc go oddać jaknajdobitniej. U nas są one tém cenniejsze, bo mało bardzo nam pozostało pamiątek stariej rzeźby kamienniej. Kościoły nasze runęły wśród różnej kraju pożogi, a nagrobków wiele niszczało, i zatarła się pamięć świetnych imion zasługi dla ojczyzny. Jesteśmy ubodzy w rzeźby kamienne z poczciwej naszej przeszłości; więc też tém bardziej szanować je powinniśmy, a zrysować i spisać te co są, gdyż materiały to do historii rzeźbiarstwa w Polsce.

Tablic erekcyjnych zrysowanych znanych u nas, o ile wiemy, jest dotąd trzynaście, a ta radłowska będzie między niemi najstarsza, bo o wiek cały wyprzedza prawie tablicę z Sienna. Dla wiadomości i użytku tych co się takimi zajmują rzeczami, wypisujemy tu chronologicznie wszystkie erekcyjne tablice, z dodaniem kto je wymienia i gdzie je podano w rysunku.

1) Z kościoła w Siennie z r. 1431 (zamieszczona w Sobieszczańskim „Wiadomościach o sztukach pięknych“); 2) z kościoła w Piotrowinie nad Wisłą z roku 1442 (wzmiankowana tamże); 3) z kościoła w Chotlu czerwonym z r. 1450 (tamże); 4) z kościoła w Bodzentynie z r. 1452 (tamże); 5) z bursy jerozolimskiej w Krakowie z r. 1453 (chromolit. we „Wzrach sztuki średniowiecznej“); 6) z kościoła w Wiślicy z r. 1460 (zamieszczona w Sobieszczańskim

„Wiadomościach“); 7) z kościoła Szczepanowic z r. 1470 (nieogłoszona dotąd, czeka na to); 8) z bursy *juris peritorum* w Krakowie z r. 1471 (zamieszczona przy programie szkoły św. Anny w Krakowie); 9) z kościoła w Raciborowicach pod Krakowem z r. 1476 (nieogłoszona); 10) z domu psalterzystów na Wawelu w Krakowie z r. 1480 (zamieszczona w „S tarożytnościach krakowskich“ Łepkowskiego); 11) z kościoła w Lubrańcu z r. 1497 (wzmiankowana w „Wiadomościach“ Sobieszczańskim); 12) z kościoła p. p. benedyktynek w Sandomierzu z r. 1686 (?) (wzmianka o niej w „Tygodniku Illustr. Nr. 17“); a teraz przybywa nasza 13ta z kościoła w Radłowie, w dawnym województwie sandomierskim, powiecie pilźnieńskim, z r. 1337. Spodziewamy się jednak, że nas Tygodnik Ilustrowany i z innymi obznajmi.

Radłowska jest z drobno ziarnistego piaskowca pińczowskiego, ma kształt trójkąta o dwóch półkolnych bokach. Treść stanowią trzy pola laskowaniem od siebie oddzielone, ozdobami stylu ostrołukowego zamknięte z góry. W środkowem polu w wypukłorzeźbie stojąca postać św. Jana Chrzyciela, z czaszą (utrąconą) w ręku. W prawem od św. Jana polu, biskup Jan Grot klęczący, podaje św. patronowi kościół. W lewem polu klęczy postać po świecku ubrana, paskiem przepięta, najprędzej wyobrażająca budowniczego, co plan na kościół wyrabia i budowę prowadzi. Figury w wypukłorzeźbie, odziane udrapowaniem gotyckiego zakroju. Rzeźba pełna prostoty, a nie bez artystycznych zalet. Treść tablicy zamyka i otacza wstęga z napisem od dołu poziomo, a po obu stronach łukowato biegnąca. Charakter zgłosek w napisie lapidarny. Napis zaczyna się na boku lewym tablicy i brzmi:

† Anno . Dm . (domini) M. CCCXXX. VII. M. S (mensis septembris) Johns. (Johannes) Grothonus. eps (episcopus) crac. (oviensis) fecit. hanc. aeccam (ecclesiam) in honore. (m) sancti. Johns. (Johannis) bapti † (stae).

Użycie wyrazu *fecit*, zamiast zwykłego w takich razach *erexit*, rzuca tutaj wątpliwość czyli świętobliwy biskup Jan Grot tylko kościół wystawił, lub też czyli wraz z nim założył i parafię. Staraliśmy się rzecz tę śledzić u źródła, lecz nie udało się odszukać aktu założenia kościoła. Długosz w katalogu bisk. krak. powiada tylko o wystawieniu przez Grotona kościoła w Radłowie z palonej cegły, pod wezwaniem św. Jana Chrzyciela, a biskup Łętowski w swym katalogu, dodając „i w Dobrowodzie“ mówi: „i uposażył oba dziesięcinami od stołu swego.“ Wzmianka ta czcigodnego pisarza, czerpiącego ze źródeł kapitulnych, przekonywa, że Jan Grot nie tylko kościół w Radłowie założył, ale i parafię, skoro go uposażał dziesięcinami.

Tablica radłowska wmurowana jest obecnie w ścianie babieńca, od północy na zewnątrz, zabieleną wapnem i popekana od dołu; bijące zaś na nią słońce i fale północne zniszczą ją wkrótce, jeżeli kto, litując się nad tak szacownym zabytkiem, nie zechce jęj ztąd przenieść wewnątrz kościoła. Takie to u nas zaniedbanie niejedną już zruinowało pamiątkę. Jest wprawdzie w Austrii prawo o konserwatorach pomników; są nawet po innych prowincjach monarchii wszędzie konserwatorowie zamianowani, chroniący podobne zabytki od upadku; lecz w naszej prowincji nikt się o nic nie troszczy, jakby to prawo dla wszystkich, tylko nie dla nas było wydane. Mamy zaledwie dwóch tylko, to jest na Kraków i na Lwów, zamianowanych konserwatorów, na całej zaś reszcie przestrzeni Galicyi nikt o nic nie dba, wszystko niszczy się i rozpada. A jeżeli znowu wezmą się do restauracji pomników lub też kościołów, to takie popekniąją wandalizmy, że nawet nie wiedzieć czego sobie życzyć należy, owych restauracji, czyli też żeby tak wszystko czekało miłosierdzia Bożego.

Kościół radłowski zgorzał zapewne w XVII wieku, lecz o to z pewnością na miejscu dopytać się nie można. Wtenczas to najprędzej ruszono z pierwotnego miejsca tablicę. Odbudowano zaś kościół bez smaku, jak to u nas czyniono wszystko w tym wieku powszechnego upadku. Nade drzwiami babieńca znajduje się na kamieniu wryty herb biskupi Nałęcz, wraz z literami: P. G. D. G. E. C. D. S. 1643 (Piotr Gębicki z Bożej łaski biskup krakowski książę siewierski). Snadź przeto za rządów tego biskupa nastąpiło odbudowanie spalonego kościoła i przystawienie babieńca. Nie zdaje się atoli, aby wtenczas już

tablica tutaj wmurowaną została, sądząc ze świeższego onój pobielenia.

## II. SŁUP GRANICZNY.

Nieczęsto u nas się wydarza, aby jaki zabytek pomnikowy z przeszłości naszej, którego prawdziwe znaczenie zatarło się później w pamięci, mógł się wykazać piśmiennym dowodem swego właściwego znaczenia. Słup atoli graniczny w Radłowie z r. 1450, którego tutaj przedstawiamy rysunek, właśnie taki posiada.

Często bywały u nas zatargi szlachty z duchowieństwem o posiadłości i o granice; liczne o tém napotykałyśmy zapiski w różnych miejscach, a św. Stanisław, wiemy, dochodził już Piotrowina. Nie pochodziły te zatargi z ducha grabieży, lub też z chciwości na duchowne dobra, lecz raczej z burzliwości narodowego charakteru, z tej niemal swawoli i wrodzonej do pieniactwa żyłki, która w ostatnich przedupadkowych czasach tak mocno się rozrósłszy, stała się jedną z chronicznych słabości rzeczypospolitej, przyspieszających jej upadek. Szlachta jedną ręką hojnie kościołowi sypała dary, zapisywała majątki, legata, budowała kościoły, a drugą darła się z duchownymi o jakieś prawa lub też własności. Swawolę taką karcili ostro królowie nasi. Władysław Jagiełło w roku 1433 stanowiąc, aby gwałtowników dóbr duchownych karcili biskupi klątwami, a upornych po roku ścigali starostowie jego. Duch jednak prawdziwej pobożności i wiary przemagał zawsze u nas nad prywatę i sięganie po cudzą własność. Że tak było, wskazują dzieje.

Kapituła krakowska bogate miała w ziemiach uposażenie, nadane jej różnemi czasy szczodrością Piastów, Jagiellonów i różnej szlachty. Między innymi do tych posiadłości z dawna należał klucz radłowski, położony w lesistej a żyznej okolicy ponad Dunajcem, w b. województwie sandomierskim, powiecie pilźnieńskim. W połowie XIV wieku biskup krakowski, Wisław Kościelecki, pozwolił założyć synowcom swoich w lasach radłowskich dwie wsie: Zabawę i Drohiczę. Lecz nabawiła się z tego powodu nie mała kłopotów i swarów w późniejszych latach kapituła krakowska; bo obdarowani niepokoiłi potem ciągle biskupów o granice, roszcząc sobie prawo do całych wsi radłowskich. Ciągnęły się długo spory i zajazdy, aż je ostatecznie załatwił wielki nasz polityk i biskup, Zbigniew Oleśnicki.

Zbigniew, była to potężna głowa, a człowiek z niego był gospodarny i sporzący dobra kościołowi jak mało. Wszędzie też jego starania i prace w dobrach biskupich napotkać można. Zbigniew, kochający się w stawach, założył prócz kilku mniejszych, dwa także większe w Radłowie, jako okolicy samém już położeniem dziwnie do tego usposobionej, sprowadzając wodę do stawów z wielkim nakładem z odległych o dwie mile rzeczek Glinnika i Brzeźnicy. Glinnik płynie koło Borzęcinka, Brzeźnica koło Woli Radłowskiej. Stawy te nazwano: jeden Dembno, zapewne od biskupiego herbu, a drugi Nieciecza, którego to nazwiska dotąd jest wieś niedaleko Radłowa, w parafii Otwinów. Otóż z powodu sprowadzenia wody do tych dwóch stawów, skarżyła się sąsiednia szlachta, że jej podmakają pola, a woda czyni zalewy. Rzecz wytoczyła się do sądów, a przy niej wyszła znowu na wierzch i sprawa graniczna między Zabawą i Drohiczą, później przezwaną Drohcem. Biskup nie chciał takich zatargów pozostawiać w puściznie słabszym swoim następcom, a zapragnął snadz wszystkie spory w tych stronach jednym zakończyć zamachem. I skończył.

Zapadł wyrok graniczny r. 1450, wydany przez Mikołaja Powagę Taczowskiego, podkomorzego ziemi sandomierskiej, a w nim przyznano wszystkie ziemie oznaczone słupem granicznym, na *prawo* biskupowi i duchowieństwu, na *lewo* świeckim panom.

Takie jest znaczenie granicznego słupa, który napotykałyśmy w naszych zeszlórocznych wędrówkach po tamtych stronach, przedstawiamy obecnie. Znajduje się na granicy wsi Drohcza i dóbr radłowskich, które dzieląc smutne koleje kraju, przeszły w posiadanie prywatne i są dziś własnością cudzoziemca.

Słup stoi na oddzielnej podstawie brusowej, jest zaś z kamienia piaskowego pińczowskiego, w kostkę od spodu, do wysokości 1 1/2 stopy grubszy, ze ściętymi narożnikami, przez co tworzy nierówny ośmio-

ścian, w którym cztery ściany są szersze, a cztery węższe. Kształt słupa jest wdzięczny, robota wprawna i dobra.

W czterech szerszych ścianach u góry są wnęki prostokątne, z lekkim, prostym gzymsem. W nich od strony drogi jest wykuty Chrystus Pan na krzyżu, w dwóch zaś bocznych dwie niewieście postacie, zapewne dwie Marye z pod krzyża. Na stronie odwrotnej krzyża, obróconej do pola, wykuty herb Dembno, domu Oleśnickich, ozdobiony kapeluszem kardynalskim. W bokach węższych ośmiościanu są próżne, smukłe wnęki, z ostrołukowym zagięciem. Ponad górnym gzymsem szczyt słupa jest ścięty także w ośmiościan, a kończy się gotycką szyszką.

Pod krzyżem zamieszczono napis wgłębionymi gotyckimi literami:

*hoc . signum . verum . cler  
um . distinguit . et heru(m)  
1 . 4 . 50 . mai . 4 .*

co znaczy: ten prawdziwy znak (t. j. krzyż) rozróżnia duchowieństwo od panów. A pod tym jeszcze jakieś niewyraźne litery, najprędzej imię lub nazwisko tego, co ten słup robił. Pod temi napisami są znowu dwa późniejsze: Feliks Zieliński A. D. 1623 i Chritophorus Zieliński A. D. 1625. Wrobione one zostały później zapewne, przy umocowaniu słupa klamrami żelaznymi, lub przestawianiu go dla utrwalenia.

Na stronie odwrotnej, pod herbem Dembno, jest znowu napis:

*dextrum . do . clero . sini-  
strum . largior hero.*

Jest to *hexamet* łaciński, znaczący dobitnie: „co na prawo, przyznaję duchowieństwu, co na lewo, świeckiemu panu“ (\*).

Karol Rogawski.

## NAD STAWEM.

Siedzę nad stawem — w stawu topieli  
Błękitne, jasne niebo się ścieli;  
Ni chmurki niema, jeno w głębi fali  
Słońce jak jasny meteor się pali.

W sitowia cienie promień się przeciska  
I pajak wodny powstał z topieliska,  
Powstał i kręgi prorocze po wodzie,  
Ustawy pisze słońce i pogodzie.

Z sitowia cieni idzie bocian siny,  
Poważnym krokiem brodzi przez głębiny,  
Aż w środku stanie, w blask słońca strojony,  
Jedynowładzca żab nieposkromiony.

Z sitowia cieni z za kępy uroczej  
Cyranek-bogin wyblaskują oczy;  
Tęczowe szaty w wszelkie barwy strojne  
W blask odziewają boginie dostojne.

W skwarze rój muszek, co na liściach spały,  
Zbudzony rankiem — rozegrał się biały,  
Niby kapela nuca wśród posuchy  
Pieśń słońcu, jakby tajemnicze duchy.

Niebieskie nimfy z jasnemi skrzydłami  
Krążą nad wodą bachantek tańcami,  
A wśród nich motyl zwija się zbłąkany,  
Bajeczny Hylas od dziewcząt porwany.

Z sąsiedniej łąki derkacz cicho derka,  
Przepiórka woła, świerszcz w zagonie świerka,  
Kukułka leśna coraz się odzywa,  
Wróbitka szczęścia, sama nieszczęśliwa.

Dziewczyna tęskna nuci pieśń na błoni,  
Trzoda drożyną powracając dzwoni,  
Z wieżycy wiejskiej dzwonek się kołysze  
Błogosławieństwem w pól rodzajnych ciszę.

(\*) Szanowny autor artykułu przesłał nam przy niniejszym w kopii bardzo ciekawy dla starożytników akt rozgraniczenia w języku łacińskim, wyjęty ze źródeł rękopiśmiennych Bibl. Zakł. Nar. Im. Ossolińskich we Lwowie. Dokument ten objaśnia szczegółowo cały stan sprawy pokrótce tu napomknęty; drukować go jednak, dla zbytnej jego obszerności, w piśmie o ramach tak szczupłych nie możemy.

(Przyp. redak.)

Siedzę nad stawem i słońce mnie grzeje,  
Niebo się do mnie i stworzenie śmieje,  
A ja wilgotną dziękczynię żrenicą  
Krynicom światła i ciepła krynicom.

A ja podnoszę dłoń błogosławiącą  
Nad ziemię świętą, łaską promieniującą,  
I w ciszy niebios widzę, jak na górze  
Śmieją się ku niej aniołowie stróże.

J. Szujski.

## ŻOLIBORZ.

Pomiędzy zakładami naukowemi, które przed laty istniały w Warszawie, największą miał niegdyś sławę konwikt ks. pijarów Żoliborzem zwany, który stał przy ulicy Gwardyi, podobnież już teraz nieistniejącej, pod nr. 1970. Na początku XVII stulecia był na tém miejscu cmentarz grzebalny zmarłych w czasie morowego powietrza, dalej grunt pusty Stawki, potem Szymanowo zwany, który należał do możnej szlacheckiej rodziny Szymanowskich. Kiedy w r. 1754, staraniem i zabiegami ks. Stanisława Konarskiego znakomitego prowincyała księży pijarów, stanął w Warszawie przy ulicy Miodowej pod nr 487 (gdzie dziś sąd appellacyjny) pierwszy konwikt dla młodzie szlacheckiej przez niego zaprowadzony i ten wkrótce niezmierniej nabył wziętości. Wtedy godny następcą Konarskiego, ks. rektor Augustyn Orłowski, widząc że to nowe kolegium potrzebowało placu na ogród i dom, częścią dla rozrywki uczącej się młodzieży i używania świeżego powietrza w dni wolne od nauki, osobiwie podczas wakacyj, częścią dla składu żywności, drzewa i innych domowego gospodarstwa potrzeb; nabył ów grunt od Szymanowskich najprzód na wieczny, a później na dziedzictwo. I zaraz w r. 1774 plac między koszarami gwardyi i cegielnią podówczas Kicińskiego nad Wisłą leżący, murem obwiodł od strony rzeki, brzeg cały w tarasy czyli kondygnacje porzwał i drzewami owocowemi zasadził, od strony ulicy płaszczyznę jego piaszczystą, dołów pełną splanował, dobrą ziemią nawiózł i w rokoszny ogród owocowy, lipami także i kasztanami w różne figury posadzonemi ozdobiony zamienił. Nakoniec w następnym roku postawił w nim dom letni i całemu miejscu od przyjemnego położenia nazwisko francuzkie *Jolibord* (piękny brzeg) nadał, które z czasem przepolszczone na Żoliborz się zamieniło. Na ten cel przeznaczona posiadłość stała lat kilkadziesiąt i składała się z niewielkiego domu bez pieców, obok którego znajdowały się ogrody, a dalej nieco obszerny młyn murowany i inne zabudowania gospodarskie do wygody i korzyści zakładu i zgromadzenia służące. Dopiero w r. 1807, kiedy władze francuzkie zajęły gmach konwiktu przy ulicy Miodowej na lazaret wojskowy, szkoły przeniesiono z tamąd w tymże roku do Żoliborza, który gorliwem staraniem równie zasłużonego w dziejach zgromadzenia ks. rektora Kajetana Kamieńskiego był stosownie przebudowany, o jedno piętro podwyższony, a następnie innymi budowlami pomnożony.

Po uczynionej zmianie i umieszczeniu całego naukowego zakładu, gmachy Żoliborza składały się z czterech budynków; jeden, w roku 1813 z domu letniego z gruntu przerobiony, zawierał dwadzieścia i sześć sal naukowych, z których dwie największe służyły na uroczyste obchody i na jadalnię; drugi, przebudowany z dawnego młyna, mieścił w sobie bibliotekę, muzeum, laboratoria chemiczne, obserwatorium astronomiczne, tudzież folwark gospodarski i infirmaryę; trzeci, zupełnie nowo w r. 1819 wystawiony naprzeciwko pierwszego, był wyłącznie przeznaczony dla konwiktów do mieszkania dla klas wyższych, ze stancyami dla wice - prefekta i dwóch profesorów dozorujących. Znajdowało się w nim 28 pokojów czyli alkówek, po bokach sali ciągnącej się przez dom cały z kolumnami wewnątrz. Każdy konwikt miał osobną w nim alkowę, ze wszelkimi do pracy naukowej wygodami. Część dołu tego gmachu przeznaczoną była na mieszkanie rektorskie, w drugiej części była sala jadalna dostatnia, najmniej na sto osób, kuchnia szafarnia i kredens. Obok stała niewielka okrągła kaplica, w której uczniowie słuchali mszy Śej, pobięrali nauki chrześcijańskie i pacieńcze codziennie odmawiali. Przy niej wzniesiony był w r. 1829 na 1830, staraniem ks. rektora Jakuba

Ciastowskiego. Czwartry dom, najobszerniejszy na Żoliborzu, zawierał w sobie 30 alkówek dla uczniów, 4 większe mieszkania dla profesorów, osobne klasy naukowe, mieszkania dla zasłużonych profesorów i infirmary. Wszystkie te gmachy, na najwyższym punkcie Warszawy stojące, niemało zdobiły nadbrzeże Wisły; ztąd bowiem był pyszny widok na całe miasto i jego okolice. W ogóle szkoły na Żoliborzu, nawet pod względem położenia wielkie miały zalety, będąc w miejscu od zgiełku ludu i łoskotu powozów dalekiem, do wychowania więc młodzi fizycznego i moralnego stosowne, zwłaszcza iż powietrze w nim było zawsze czyste i zdrowe, a przechadzki pomiędzy drzewami zasadzonymi wygodne. Co do wewnętrznego stanu tego zakładu, ciekawy czytelnik znajdzie go dokładnie opisanym w drugim tomie szacownego dzieła J. Łukaszewicza: Historya szkół w Koronie i w wielkiem księstwie litewskim, gdzie umieszczone są także ustawy tegoż konwiktu, częścią przez samego Konarskiego, częścią przez następnych prowincyałów zgromadzenia księży pijarów ułożone, które aż do końca instytutu były zachowywane. Mieścił on w sobie około stu uczniów za opłatą roczną 1800 złp., a gdy kilku było braci, po 1440 złp. od każdego za naukę, włączając w to naukę konnej jazdy, tańców i fechtowania, tudzież ży-

wność, reszta zaś wszystko osobno było płacone. Mundur paradny nosili uczniowie ten sam, który król Stanisław August ustanowił, to jest frak granatowy z kołnierzem i rabatami białymi, guzikami żółtymi, spodnie także białe i kapelusz stósowany z kokardą białą. Uczyli w nim ludzie zajmujący wysokie stanowisko w literaturze krajowej i znający dobrze przedmioty, które młodzieży wykładali. Ztąd też uczniowie Nowaczyńskich, Skrzetuskich, Moszczyńskich, Przeczytańskich, Zaborowskich, Osieńskich, Siarczyńskich i innych, wychodzili ztąd jeżeli nie na ludzi uczonych, to prawie wszyscy na znakomitych urzędników, duchownych i użytecznych obywateli. Wielu z nich zajmowali i dotąd zajmują ważne posady w służbie rządowej, odznaczając się zamiłowaniem nauk i gruntowną ich znajomością. W końcu 1831 r. konwikt ztąd przeniesiony był na ulicę Zakroczymską, gdzie jeszcze rok istniał, to jest do czasu zmiany kierunku wychowania publicznego; gmachy zaś

Żoliborza, po utworzeniu cytadelli aleksandryjskiej roku 1832, wcielone zostały do zabudowań tej warowni.

### KILKA SŁÓW O SZARAŃCZY.

Zamierzamy w obecnym artykule pogawędzić o szarańczy, bo na czasie nam się ten przedmiot wydaje. Oddziały tych skrzydlatych niszczycieli, zbłąkane w nasze granice z dalekiego Wschodu, zbudziły obawę rolników nawidzonych przez tego osobliwego go-

Prócz tych ma jeszcze szarańcza dwa inne, dziwnymi centkami w kształt arabskiego napisu upstrzone skrzydła mniejsze, służące jej za pokrywy, które jak płaszczem otula się od nader dla niej szkodliwego chłodu. Skrzydła te wyrastają z tułowiu odzianego w twarde pancerz, do którego przyczepiona jest niemal prostopadle duża głowa. Nic ciekawszego nad jej wyraz, malujący nieprzebraną srogość; mianowicie wyrażają to oczy wielkie, na bokach głowy sterzące, które pod szkłem powiększającym uważane, przedstawiają się rżnięte w liczne

ścianki, na podobieństwo błyskotliwego brylantu. Pochodzi to z tej przyczyny, że oko każde jest złożone z kilkunastu osobnych oczek, ściśle z sobą połączonych w jedną całość. Prócz tego na ciemieniu głowy znajdują się trzy drobniuchne oczka, co pozwala szarańczy widzieć na wszystkie strony zbliżające się niebezpieczeństwo, bez poruszania głową, która stale jest do tułowiu przytwierdzoną. Macki z drobnych stawów złożone, sterczą jak pióra u hełmu, którego przyłbica spuszczone osłania pyszczek, złożony z potężnych szczęk czarnych, o fioletowego koloru zębach. Zresztą wierzchnia barwa tych rabusiów nie zachwyca oka: szarobrunatna odzież czasami mieni się w błękitnawozieloną z żółtym odcieniem; tylko szarawary żółte, a buty czerwone



WIDOK ŻOLIBORZA.

ścia, a zarazem podrażniły ciekawość ogólną, skutkiem najprzeróżniejszych a rzadko z prawdą zgodnych powieści.

Ciekawość ta jednak i obawa jest nader usprawiedliwioną, bo żadna z klęsk nie może się równać ze zniszczeniami jakie zrzadza szarańcza, mianowicie w południowych strefach, gdzie klimat sprzyja rozwojowi tego niebezpiecznego stworzenia. Nim jednak w szczegółach wiarogodnych naszkicuję obraz jej zniszczeń, trzeba nam się bliżej zapoznać z głównym ich aktorem, tém więc że niektórzy u nas nie są nawet pewni gdzie umieścić szarańczę, czy między jaszczurkami, żabami, czyli też do rzędu ptaków ją policzyć. Dla tych więc wypada nam objaśnić, że szarańcza należy do rzędu owadów, zwanych u naturalistów *prostoskrzydłymi* (orthoptera), chociaż, jakby na przekór tej uczoniej nazwie, dwa wielkie, właściwie do lotu przeznaczone skrzydła, jakeimi jest opatrzona, fałdują się w czasie spoczynku nakształt wachlarza.

z białymi ostrogami, według okoliczności i płci, stanowią niejaka ozdobę.

Tak nam się powierzchownie przedstawia szarańcza, ale tylko w ostatnim peryodzie swego życia, całkowicie wykształcona; podobnie bowiem jak wszystkie owady, odbywa przemianę, lubo niezupełną, bo należące tylko na pięciokrotnym zrzućaniu skóry i wyrastaniu skrzydeł, których początkowo jest pozbawioną.

Z pierwszymi promieniami wiosennego słońca wylega się plód żarłocznej szarańczy i ma wtedy, jak mówi pan Belke, podobieństwo do wielkiej czarnej mrówki, z tą tylko na pierwszy rzut oka różnicą, że nie biega ale skacze jak zwykle polne koniki, z którymi ściśle pokrewieństwo tworzy.

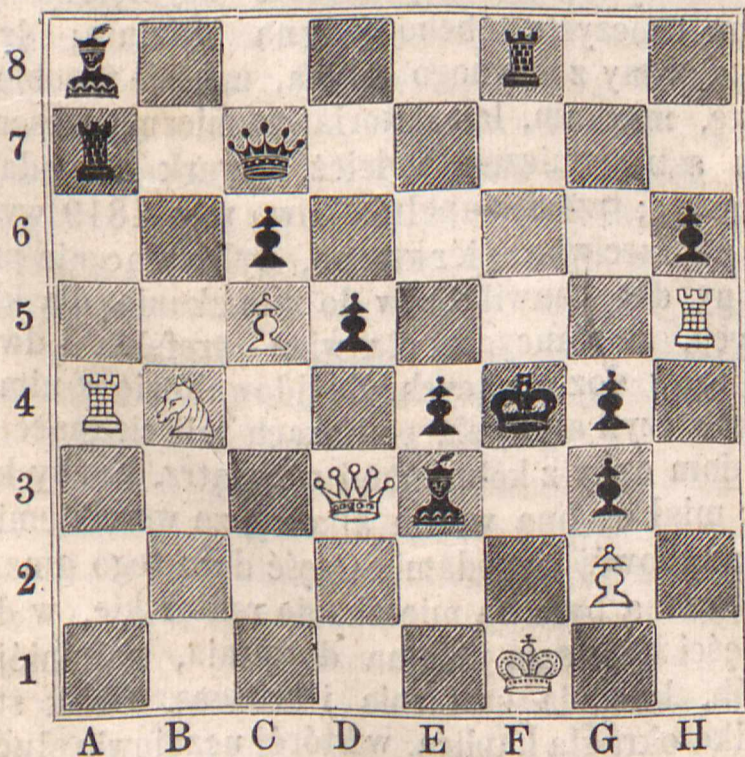
Jeden z rossyjskich uczonych, p. Struków, który miał sposobność długo badać szarańczę niszczącą w przeszłym i bieżącym reku pola Bessarabii, twierdzi (Ob. Dodatek.)

### SZACHY.

ZADANIE XXXIX.

Białe zaczynają i dają mata (\*) za 3ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

(\*) Kuryer Wileński w ostatnim swym numerze wytknął nam że piszemy *dają mata*, zamiast *dają mat*. Ze stanowiska

grammatycznego słuszną to uwagę, lecz sprzeciwia się zupełnie przyjętemu w świecie szachowym zwyczajowi, i każdy szachista niezawodnie moenoby się zadziwił, gdyby mu kto powiedział: *daje wyborny mat*, a nie *wybornego mata*. Dziękując przeto Kuryerowi za ostrzeżenie, musimy jednak w tym razie, radzi nieradzi, pozostać niepoprawnymi.

Szarada ukryta w szachownicy w Nrze 53 Tygodnika jest następująca:

Dziwne żywioły wchodzą w mój skład;  
Niech głowę suszy, kto na to chwata.

Pierwsze litera,

Drugie litera,

Trzecie litera,

Czwarte litera,

Piąte litera,

Prawda to szczerza.

Szoste daje, wszystko wraca.

Zgadnąć ciężka będzie praca.

(Znaczenie jej: I-pe-ka-ku-a-na).

Rozwiązań tym razem nadeszło 7 z Warszawy i 4 z prowincyi. Z tych dwóm tylko, to jest p. Z. P. z Częstochowy i p. C. M. z Piotrkowa nagroda została przysądzoną; wszyscy bowiem imi konkurenci popełnili ten sam błąd, kładąc dwa pierwsze więrsze na końcu. Wprawdzie i w tym porządku wiążą się z sobą ruchy więzy; zawsze jednakże uwaga na sens powinna była rozwiązujących na właściwy naprowadzić początek.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 53.

W nowo zaprowadzonym porządku rzeczy na Libanie widać, że półksiężyc upada a krzyż się podnosi.

### REBUS.



(Dodatek.)

dzi iż szarańcza rodzi się bez wzroku (lubo otwory oczne wyraźnie zdają się być oznaczone), słuchu, płci, z pewną ułomnością organów, i w tym niedoskonałym stanie pozostaje aż do ostatniej przemiany, to jest do nabycia skrzydeł. Fakt ten byłby rzeczą nowością w nauce. Powyższy spostrzegacz powiada dalej, iż przy każdym lenieniu się czyli przemianie szarańcza zrzuca skórę nieprzedeurawioną w punktach otworów ocznych, a zatem błonka schodzi i z tych ostatnich. Nadto brak słuchu i wzroku u szarańczy, aż do ostatniej przemiany, zdaje się dowodzić i ta okoliczność, iż owad nie trwoży się ogniem, wodą, hukami ani szumem, jeżeli tylko czynniki te nie działają na zmysł dotykania, nader obszernie u niego rozwinięty. Ta uwaga jest bardzo ważną nawet pod względem praktycznym, przy niszczeniu niedoskonałej szarańczy, która po trzeciej metamorfizie zbiera się w gromady, i żarłoczna równie jak dojrziała, wyrusza na pola, gdzie zrzęda niesłychane szkody. W tym stanie szarańcza bezskrzydła zowie się *piechotą*, i pochodu jęj, gdy raz massami wyruszy, nikt nie jest w możności zatamować.

Zbieranie się szarańczy w gromady jest faktem niewytłumaczonym, chyba że przypuścimy pewną ułomność jednostek, potrzebujących wsparcia jedne od drugich podczas pochodu. Szarańcza bowiem nie należy do owadów towarzyskich w ścisłym znaczeniu tego słowa, gdyż gromadzenie się istot w społeczeństwo nie jest bezcelowym wybrykiem natury. Rzeczywiście rozdział pracy, budowa mieszkań, zaopatrzenie się w żywność, starania około płodu, pomoc wzajemna i wspólny cel, oto są węzły łączące pojedyncze istoty w mniej więcej liczne towarzystwa, i oto dźwignie tych potężnych prac i dzieł, jakie złączonymi siłami wykonywają. Wszystko to jednak szarańczy jest obcym: nie buduje ona żadnych mieszkań, nie gromadzi zapasów, starania około płodu zostawia matce naturze i słońcu,—jakiż więc ma cel kupienia się w te nieprzeliczone szeregi? Chyba że przypuścimy iż na podobieństwo hord tatarskich łączy się jedynie w widokach wspólnej grabieży, wspólnej zdobyczy, i że szlaki jęj kierowane są palcem Opatrzności, tak jak wielkie nawały barbarzyńców ze Wschodu na Zachód, niosące ongi Europie zniszczenie, pożogę i mordy. Lecz nauka stara się podpatrzeć i podśledzić naturę, logicznymi do swoich celów postępującą drogami; w łączeniu się przeto szarańczy upatruje pewne kaléctwo jednostek, które instynktownie zmusza je do gromadzenia się i wspierania w pochodzie. Mianowicie daje się to spostrzegać na niewykształconej jeszcze szarańczy, to jest w epoce gdy niema jeszcze skrzydeł i znana jest pod nazwą *piechoty*. Wtedy, jak mówi pan Strukow, dowolnie można nadać kierunek legionom ciągnącego owadu. Wykopawszy naprzykład wśród łąk, na których osiadła szarańcza piesza, rowki, można ją zmusić do postępowania niemi, zwróciwszy pierwsze szeregi kolumny na tę sztuczną drogę, która nie przedstawiając tych co trawa zawad, dogodniejszą się staje owadom. Naturalnie na końcu tych rowów kopią się jamy, w których szarańcza śmierć znajduje. W trzy tygodnie po wyjściu owadu z jaj, następuje trzykrotne zrzucenie skóry, a w szóstym tygodniu odbywa się ostatnia metamorfoza; wtedy wybiera sobie miejsca zacienione, gęste lasy i krzaki, aby w ich ukryciu odbyć przekształcenie.

Wtedy to owad słabnie, niedołącznieje, a zaskoczony tą porą w stepie, daje się z największą łatwością niszczyć i bez ucieczki wybijać. Uchwyciwszy się jakiegokolwiek gałązki lub trawy, siedzi szarańcza odosobniona, czyniąc widocznie bolesne usiłowania w celu wydobycia się z ciasnej wierzchniej powłoki, która nakoniec pęka wzdłuż grzbietu i na głowie. Przez otwór wydostaje się najprzód tułów, następnie skrzydła, znajdujące się dotychczas w dwóch bocznych kieszeniach zwinięte spiralnie, nakoniec nogi i reszta odwłoku. Owad, wydostawszy się z więżącej go skorupy, jest słaby i mokry przez kilka godzin; więc suszy się na słońcu i nabiera sił. Przemiana odbywa się rano, a ku wieczorowi owad już może wlecieć w tym kształcie, jaki opisaliśmy na początku. Lecz naszkicowaliśmy tam tylko zewnętrzną fizyognomię szarańczy, a wewnętrzny dopiero rozbiór wskaże nam powód usprawiedliwiający okrutny i żarłoczny charakter tego stworzenia. Aldrovandi, rozczłonkowałszy i zbadałszy wewnętrzny układ szarańczy, uznał ją za rodzaj zwierzęcia przeżuwającego; zacząwszy

od pyska aż do końca ciała, wewnątrz jęj zajęte jest niemal wyłącznie organem pokarmowym, który aż dwa obszernie formuje żołądki. Dla zapewnienia to ich czczości, szarańcza pożera z taką chciwością wszystko co tylko napadnie, z wyjątkiem lnu i niektórych roślin trujących. Trawienie odbywa się nader szybko, a jadowite wyrzuty są niemniej dla wegetacji szkodliwe, od żarłoczności owadu. Tylko oglądając zniszczenia, możemy uwierzyć sile potężnej jaką posiada przyroda, sile, która niegdyś bystrzej jeszcze przejawiała się w swych strasznych skutkach, szczepiąc na grobach całych pokoleń życie nowego świata.

Wyskrzydłona szarańcza trzeciego dnia zaczyna się zbierać w gromady, i oddziałami, częstokroć na parę werst szerokiemi i grubemi na parę stóp, rusza potężnym szlakiem naprzód. Wrażenie jakie sprawia przelot tych chmur jest trudne do opisania i prawie niepodobne do wyobrażenia temu, kto nie widział go w naturze. Jeden z korespondentów z Besarabii powiada, iż szum zrzędzony przelotem szarańczy podobny jest do zgrzytu piasku po szkle, tylko spotęgowanego milionem milionów skrzydełek. Słońce zacieśnia się wtedy, jakby za grubych chmur powłoką; powietrze staje się ciężkie choć suche, przelatująca bowiem szarańcza do swych wędrówek wybiera dnie gorące i pogodne. Ranki i wieczory przepędza spokojnie na polach, wilgoć bowiem i rosa czynią ją ciężką i niezdolną do lotu. W locie, mianowicie tak grubemi warstwami, niemało im sprzyjają wiatry, od których zdaje się zależeć nawet przeważnie kierunek ich drogi. Przed główną chmurą owadu, ciągną zwykle mniejsze, jakby straż przednia, dająca wieść o nadjeździe zniszczenia i zagłady wszelkiej roślinności. W sierpniu i wrześniu następują godowe chwile dla szarańczy; miłosne nawoływania rozlegają się wtedy po błoniach obsiadłych tym owadem. Głos ten szczególny, właściwy wszystkim konikowatym, wydaje szarańcza przez pocieranie udek o bębenek, sformowany z błoniastych skrzydeł, a to za pomocą poprzecznych, po błonie skrzydłowej rozpostartych naczynek, mianowicie przy osadzie. Naczyńka te, wypełnione powietrzem a komunikujące z próżnią udek przy tarcu temiż o osadę skrzydeł, zdają się ważną odgrywać rolę w wydawaniu głosu. Mają go tylko samce, którzy po upływie godowej pory giną i umierają, gdy samice żyją aż do jesieni, zatrudnione składaniem jaj. Służy im do tego przyrząd z dwóch jajeczników po 40 do 50 jaj zawierających złożony, a w końcu odwłoku pomieszczony. Samica znosi swoje jaja w ziemię miękką, kopiąc tyłem ciała dołki półtora cala głębokie; każdą partycją jaj, z 50—60 sztuk złożoną, oblewa ona flegmistą cieczą, która krzepnąc tworzy rodzaj rurki nadzwyczaj kruchej, żółtawego koloru, na 8 linii długą, żółtawo-szarą skórką powleconej. Pojedyncza samica takich wałeczków złożonych może trzy do czterech, a zatem przeszło dwieście jaj, z czego łatwo pojąć szybkość odradzania się szarańczy, jeżeli złożone jaja nie będą zniszczone. Mrozy i wapno najszkodliwszy wpływ na nie wywierają; w Besarabii niszczą je, puszczając na zorane pola, gdzie szarańcza złożyła jaja, ogromne stada bydła, które tam są głównym bogactwem rolników. Przy ostrzej zimie naszego klimatu spodziewać się należy, iż szarańcza nie zlokalizuje się u nas, tak jak w wielu okolicach nad morzem Czarnym.

Właściwą ojczyzną szarańczy wędrowniczej, która, jak to mówiliśmy, tego lata i w granice naszego kraju przybyła, są stepy około morza Kaspijskiego i w ogóle południowo-wschodnie kraje, trapiące niemal ciągle tą klęską, która w Turcji, Egipcie i t. d. stała się już miejscową.

Według słów korespondenta Gazety Warszawskiej (Nr. 241 z r. b.), przybyłe do nas chmary szarańczy nie uczyniły na ludzkie prostym wielkiego wrażenia, i dziwić się temu nie możemy, bo nie znają oni okropnych zniszczeń, jakie zrzęda ta straszna *kara Boża*, jak ją nazywają Arabi. Pamięć klęsk jakie zrzędała i w naszym kraju, o których wspominają kroniki, dziś przebrzmiała w umyśle ludu, a pojawienie się tego owadu w 1811 roku nie było tak powszechne i tak straszne.

W ślad za zniszczeniami szarańczy, mianowicie w gorących krajach, postępuje nietylko błąd głód, którego klęski przy urządzonych komunikacjach łatwiejsze są dziś do uniknięcia, ale zarazem mór na ludzi i inwentarze. Tak na przykład w 591 r. gnijące ciała szarańczy we Włoszech stały się przyczyną za-

razy, od której w Wenecji i jęj okręgu do 300,000 ludzi umarło. Augustyn Sty nadmieniał, iż skutkiem téjże przyczyny w królestwie Numidyj powstała zaraza, od której do 800,000 mieszkańców zginęło, a podobne przykłady i dziś dosyć są częste w Maroko, Barbaryi i Egipcie.

Użytki z szarańczy, w porównaniu z klęskami, są nieznaczające: służy ona niektórym koczującym w pustyniach ludom za pokarm, tudzież do tuczenia drobiu, i oto wszystko podobno co z nięj ród ludzki skorzystać może.

Najciekawszymi bez wątpienia dla ziemian naszymi byłyby przepisy niszczenia jaj szarańczy pieszej i wyskrzydłonej; lecz to należy już do dzienników rolniczych specjalnych, a my notatkę naszą piszemy dla ogółu, wdawać się więc w kwestyę walczenia z tym owadem nie możemy. A. W.

## SILA ZŁEGO NA JEDNEGO.

DYALOG

Z CZASÓW PIERWSZEJ WOJNY CHOCIMSKIEJ.

przez

Wacława Szymanowskiego.

OSOBY.

WOJSKI.

PAN ROCH.

SĘDZINA.

PODSTOLINA.

PANNA URSZULA WISZNAKÓWNA.

ŁOWCZYNI.

CZEŚNIKÓWNA.

FRANEK.

IWAN SOROK.

SŁUŻEBNA.

Rzecz się dzieje na wsi koło Kowla r.1621.

Staroświecka komnata. Sprząty domowe. Ławy przy ścianach. Nad ławami trofea myśliwskie i uzbrojenie. Drzwi w głębi. Drzwi z prawej strony. Z lewej strony okno. Z prawej strony na przodzie sceny wielki stół dębowy, na nim dzban z piwem i kufel. Kilka stołków.

### SCENA I.

PAN ROCH. (sam)

(siedzi przed stołem popijając z kuffa.)

I toż ów trunek niby wyśmienity,  
Piwo piotrkowskie... tfy!... lura prawdziwa!  
I ma tu ład być w rzeczypospolitej,  
Kiedy już warzyć nie umieją piwa;  
I to gdzie jeszcze?... gdzie?... w samym Piotrkowie.  
A na antałku pieczęć z aprobatą.

(po pauzie)

Dziś wszystko jakoś nie po mojej głowie.

(wstaje i przechadza się)

Toż Turek piwa nawarzył nam za to.

Diabli nadali.

(tupa nogą)

A człek dmucha w kaszę

I siedzi doma.

### SCENA II.

PAN ROCH, WOJSKI.

WOJSKI. (wchodząc)

Coś zły strasznie wasze.

PAN ROCH.

Jak się nie złościć? a to już chybaby  
Na prawdę w sercu nie trzeba mieć Boga!  
Wszystko co żyje z powiatu na wroga  
Poszło, my ino ostalim i baby,  
I siedzim sobie za piecem szczęśliwie,  
A waść się dziwisz że się złoszczę.

WOJSKI.

Dziwię.

PAN ROCH.

Ot co!

WOJSKI.

Urzędu waga przed obliczem  
Ustaw krajowych, toż u waścia niczém?  
Ten polor, którym blask ojczyzny złocim,  
Ta praw powaga, którą kraj się szczyci....

PAN ROCH. (porywczco)

Ja wiem że kiedy król rozesał wici  
By szlachta z wojskiem ruszała pod Chocim,  
Wstyd siedzieć doma, a my siedzim doma.  
Ot sprawa cała.

WOJSKI.

Niech waść się nie sroma.

Nam polecono tutaj trzymać strażę,  
Quoniam wojskiemu obowiązek każe  
Pilnować powiat od obcej napaści,  
Strzedz niewiast, dzieci i słabęj gawiedzi.  
A waść zostałeś, bo waść przy mnie siedzi,  
I co tam znowu po wojaczce waści?  
Wszakże obadwaj niebardzośmy młodzi;  
Bóg daj zdrów siódmy już krzyżyk zachodzi,  
Nie w jednej wojnie zdrowie się sterało,  
A waści widzę wszystko jeszcze mało.

PAN ROCH.

Piękny mi urząd.

WOJSKI.

I... co tam waść plecie!

Toć prawie pierwsza powaga w powiecie.  
W pokoju nawet wojski zwykłym szykiem,  
Wszelkim zaszczytem uposażon hojnie,  
Idzie przed łowczym, pisarzem, skarbnikiem,  
A namiestnictwo powiatu ma w wojnie,  
Czyni porządek, sprawuje żołnierza,  
Godzi niesnaski i prawo wymierza.  
Toż mało jeszcze?

PAN ROCH.

Diabło, diabło wiele!

Dla wojennego piękny zaszczyt człeka,  
Robić ład w babach, prząść z niemi kądziele  
I opatrywać przybór gospodarczy.  
Gdybyć to chociaż chory lub kaleka...  
Ale do korda ręka jeszcze starczy,  
Jeszcze Turczyzna rozsiekłbym na dwoje!...

WOJSKI.

I... co tu gadać, człek swoje, czort swoje.  
Juźcić waść temu pewno nie zaprzeczy,  
Że to odwieczna taka kolej rzeczy.

Jednym jest dano walczyć wstępny bojem,  
Drudzy w domowej użyci potrzebie;  
Niechaj się każdy ogląda na siebie,  
By wedle prawa w kółku czynił swojem.  
A wy to może zmienić chcielibyście?

PAN ROCH.

Bo panie wojski...

WOJSKI.

Nasza służba iście

Również wojenna, wszakże my z żołnierzem  
Nam naznaczonym powiat cały strzeżem.  
Kto może wiedzieć co los nam nadarzy?  
Waść do wojaczki sercem przyłgnał czułem...  
Nie dajże Boże ażeby Tatarzy  
Z nienacka na nas napadli czambułem,  
Jak to w tych wojnach nieraz się zdarzało...  
Byłoby w on czas roboty niemało.

PAN ROCH.

A niechajby też...

WOJSKI. (wyglądając przez okno)

Ot nowość... przed ganek

Coś zajechało... widno goście...

(woła przez okno)

Franek!

Sam tutaj do mnie!

### SCENA III.

CIŻ, FRANEK.

FRANEK. (stając we drzwiach z głupowatym uśmiechem).

Jegomość!...

WOJSKI.

A coto?

FRANEK. (śmiejąc się)

Hu... hu... hu...

WOJSKI.

Czego śmiesz się niecnoto?

FRANEK. (śmiejąc się)

To jakaś jójmość... z wielkim nosem kaczym...

A zapierzona na lichu...

WOJSKI.

Obaczym.

(chce wyjść i we drzwiach spotyka się z sędzią, która z powagą wychodzi na przód sceny i siada na krześle. Pan Roch i Franek oddalają się).

### SCENA IV.

WOJSKI, SĘDZINA.

SĘDZINA.

Widno się waszmość nie spodziewał gościa  
Ze mnie.

WOJSKI. (kłaniając się).

A proszę... to zaszczytu wiele

Na moję chatę. Do nówek się ścielę  
Pani sędziny....

SĘDZINA. (oddychając mocno)

Jakaż do waszmościa

Droga!... toż po nięj chyba zaniemogę.  
Przed wsią na grobli koło się złamało  
W kolasie, szczęście że wychodzę cało...

WOJSKI.

Nie czas nam teraz opatrywać drogę,  
Będzie to kiedyś. Dziś ważniejsze rzeczy  
Zostały mojęj poruczone pieczy.

SĘDZINA.

A wiem że waszmość masz nad nami strażę  
Teraz szczególną, i w tój właśnie sprawie  
Dzisiaj się oto przed waszmościem stawię.

WOJSKI. (siadając)

Co dobrodzięjka sędzina rozkaże?

SĘDZINA.

Rzecz to zapewne waszmości wiadoma,  
Że mnie niebodze po śmierci mężowskięj  
Trzy pozostały w dożywociu wioski  
I syn jedynak.

WOJSKI.

A wiem, wszak mu miano

Jacenty?

SĘDZINA.

Tak jest, iście Jacuś. Ano

Trudno go było wychowywać doma,  
Bo to snadź ze krwi ojca zwykłym torem  
Chłopak się kręcił ciągle jak na igle,  
I miast się uczyć z panem preceptorem,  
W głowie mu były same jeno figle.  
Nieraz mnie dopiekl, własnej rodzicielce.

WOJSKI. (śmiejąc się)

Bo i pan sędzia był człek trefny wielce.

SĘDZINA. (z westchnieniem)

O mój nieboszczyk, niech go święci strzegą!  
Toć ja go duszą żalowałam całą,  
Choć czasem lichu za skórą siedziało,  
Było w nim więcej dobrego niż złego,  
I bogdaj Jacuś wstąpił w jego ślady.  
Owóż nie mogąc z nim sobie dać rady,  
A wiedząc jaką renomą się szczyci  
Szkoła w Lublinie, którą czujném okiem  
Tam dozorują ojce jezuici,  
Sama im Jacka odwiozłam przed rokiem.

WOJSKI.

Ano, to zawsze lepiej niż gdzieindziej.

SĘDZINA.

Niebardzo lepiej, bo skoro o wojnie  
Wiesć pierwsza gruchła, to widzi asindziej,  
Chłopak już nie mógł usiedzieć spokojnie,  
Rwał się do konia, do zbroi, do szabli.

WOJSKI. (zacierając ręce)

Snadź kiedyś z niego wojak będzie diabli.

SĘDZINA.

Aż raz i zemknął z klasztoru pocichu,  
Jak kamień w wodę, ni słychu, ni dychu.

WOJSKI. (kręcąc głową)

No.. no...

SĘDZINA.

Gdy ojce mnie zawiadomili

O tём, uczułam bardzo wielką trwoję  
I tu przybiegłam, nie tracąc ni chwili.

WOJSKI.

A cóż ja na to jójmości pomogę?

SĘDZINA.

Waszmość rozesłać możesz za nim wszędzie.

WOJSKI.

A któż po polu wiatru szukać będzie?

SĘDZINA.

Jakto?

WOJSKI.

A pewno... bądź jójmość spokojna,  
Jeżeli zemknął, to za Dniestr.

SĘDZINA. (z przest్రachem)

Tam wojna!

WOJSKI.

A juźci nie co, snadź już tak sądzono,  
Żeby się chłopak przeharcował zbrojnie;  
A toż już jemu szesnaście lat pono....

SĘDZINA. (zalamując ręce)

Boże mój drogi! mój Jacuś na wojnie!

WOJSKI.

No cóż? szlacheckie w nim serce, nie drewno.

SĘDZINA.

Ale tam Turcy zabiją go pewno.

WOJSKI.

Co mają zabić? da on radę sobie....

(sędzina zaczyna płakać)

I pocóż zaraz taka rozpacz sroga?

(chce ją uspokoić)

Ot... maszże tobie.

SĘDZINA.

A na miłość Boga!

Ratuj go waszmość!

WOJSKI.

Ale cóż ja zrobię?

SĘDZINA.

Niech zaraz gońce w te tropy pobiegą.

WOJSKI.

Gdzie?

SĘDZINA. (powstając)

Do hetmana, do króla. samego!

Waszmość sam biegnij...

(zalamując ręce)

Moje biedne dziecię!

WOJSKI. (powstając)

Jal?

SĘDZINA.

Toż waszmości obowiązek przecie.

WOJSKI.

Co jójmość prawi?

SĘDZINA.

Nie trać waść ni chwili.

WOJSKI.

Mój obowiązek stać tutaj przedmurzem

Od wrogów.

SĘDZINA.

Chcesz waść by go tam zabili

Turczyjni!

WOJSKI.

Ja chcę?...

SĘDZINA.

Waszmość jesteś tchórzem!

WOJSKI.

Co! co! co!

SĘDZINA.

Cnoty przedemną nie udasz,

Syna mi na śmierć wydałeś jak Judasz.

WOJSKI.

Kto? ja?

SĘDZINA.

Mój Jacek! tak ginąć za młodu!

WOJSKI.

Skądże?...

SĘDZINA.

Waszmościa zaskarżę do grodu.

WOJSKI.

Ot co!

SĘDZINA.

Zaskarżę waszmościa na sejmie,  
A sejm waszmości szlachectwo odejmie,  
Infamją zada i skarże na gardło.

WOJSKI.

Tfy! jakieś lichu znów jójmość napadło.

(sędzina wychodząc z największą furją)

Zobaczysz waszmość że niewiasta słaba  
Zemścić się umie! (wychodzi).

### SCENA V.

WOJSKI (sam, patrząc za odchodzącą).

Oszalała baba!

Prawi błazeństwa... ani to ni owo...

Gonić syna!... także mi robotę!...

(zagląda w okno)

No... siada w powóz... wyjeżdża za wrota.

Szczęśliwej drogi!... jedź wacpani zdrowo!

Oj! babski język jak raz taniec pocnie,

To nie sfolguje, wciąży hasa i hasa.

Ano czort babę opętał widocznie!...

Ot! daj go katu!... znów druga kolasa.

### SCENA VI.

WOJSKI, FRANEK.

FRANEK (ukazując się we drzwiach).

Jegomość!...

WOJSKI.

Co tam?

FRANEK.

Jeszcze nowi goście.

WOJSKI.

Szkuta ich, czy co!

FRANEK.

Jakieś dwie jéjmoście,  
Z tych jedna strasznie rozlamentowana.  
Owóz i one.

(usuwa się od drzwi, żeby zrobić miejsce paniom,  
a gdy te weszły, wychodzi.)

## SCENA VII.

WOJSKI, PODSTOLINA, PANNA URSZULA WISZNIA-  
KÓWNA.

PODSTOLINA (wchodząc pierwsza).

Witam waszmość pana.

PANNA URSZULA (dyga w milczeniu).

WOJSKI (prowadząc panie do krzeseł).

Służby powolne i do nóg upadam  
Mym dobrodziejkom...

PODSTOLINA.

(Podstolina mówi prędko i krzykliwie, podczas kiedy panna  
Urszula siedzi ponuro na krześle i od czasu do czasu ocięra łzę).

Wszakże się nie mylę,

Waszmość pan jesteś Deręgowski Adam,  
Wojski kowelski.

WOJSKI (kłaniając się).

Ja sam.

PODSTOLINA.

Bo już tyle

Latek jam waszmość pana nie widziała...  
Czterdzieści z górą... To u chorążyny  
Rzeczyckiej, pomnisz waszmość, imieniny  
Były jéj właśnie, a gala wspaniała.  
Do stołu grała kapela niemiecka,  
Prawdziwy Turczyn napoje podawał,  
Waszmość was miał podstrzyżony z szwedzka  
I mnie w mazurze szaty zdarłeś kawał.

WOJSKI (pokręcając wosą).

Inne to czasy, i człek był ochoczy,  
I krew gorętsza.

PODSTOLINA.

A jaka to młodzieź!

Bywało... rzekniesz: „skocz w ogień!“... to skoczy...  
Dziś inak całkiem, wszystko wierzy w odzież,  
Niby to szlachta, wielką fumę wiedzie,  
A odpuść panie, jak moczone śledzie  
Wszystko wygląda... niema spojrzeć na co...

WOJSKI (kiwając głową).

Dawniej w rycerstwie i ziemskim urzędzie  
Człek się dorabiał zasługą i pracą...

PODSTOLINA (przerywając mu).

A teraz, pełno paniczyków wszędzie,  
Co to układnie, miodowemi słowy  
Umieją zwodzić biędne białogłowy,  
A kiedy w której serce się rozczuli...

(panna Urszula poczyna szlochać).

Otl... blizki przykład mam z panny Urszuli.

WOJSKI (z ciekawością).

No?... cóż takiego?

PODSTOLINA.

Ot co... w jedném słowie

Kompromitacja ogromna przed światem.  
Właśnie przyjeżdżam do waszmości za tém.

(do panny Urszuli).

Wasinddżka sama najlepiej opowie.

PANNA URSZULA (szlochając).

Ach! Ach!

PODSTOLINA do panny Urszuli).

Przed wojskim przecież się odważysz

Mówić wacpanna, on tę rzecz rozumnie  
Załatwi... urząd od tego...

PANNA URSZULA (szlochając).

On u mnie

Bywał.

WOJSKI.

Któż taki?

PANNA URSZULA (j. w.)

Hussarski towarzysz,

Pan Dowmund.

WOJSKI.

I cóż?

PANNA URSZULA (z coraz większym płaczem).

I... jam go... kochała...

(zakrywa twarz chustką).

PODSTOLINA.

Widzę że aścka żalu nie utuli;  
Ja powiem. Oto historia cała.  
Pan Dowmund bywał u panny Urszuli,  
Co u mnie bawi od dziecka, bo krewną  
Mi jest, a zaczął bywać... będzie pewno  
Lat już z dwadzieścia.

WOJSKI (kiwając głową).

No to w sam raz!

PODSTOLINA.

Iście,

Mieli czas dobrze poznać się na sobie.  
Widząc że młokos kocha się ognićcie,  
I ja bywało przeszkody nie robię.  
Mówiłam sobie w prostocie niewieściój:  
Toć z ładem rzeczy odwiecznym się godzi;  
Niech się kochają, wszak oboje młodzi,  
Zawsze się skończy po wierze i cześci.

PANNA URSZULA (szlochając).

Biędnaż ja!

WOJSKI.

Czyliż uczynił wyznania?

PODSTOLINA.

No... trzebaż było poznać się wzajemnie.  
Lecz przecież widział taką ufność we mnie,  
I że jéj serce ku niemu się skłania  
Zacnych afektów niewstrzymaną strugą...  
Już oświadczyły miały być niedługo,  
Gdy....

PANNA URSZULA (j. w.)

Mój ty Boże!

WOJSKI.

No i cóż się stało?

PODSTOLINA.

Głoszono wojnę, lecz byłam spokojną;  
Mówiłam: w wojnie okryje się chwałą,  
Ale się pewnie oświadczy przed wojną.

(do panny Urszuli).

Wszak i wasindżka ufałaś że kocha,  
Co?

PANNA URSZULA (j. w.)

Dolaż moja!

PODSTOLINA.

Pewnego wieczora

Panna Urszula była jakoś chora.  
Pan Dowmund przyszedł, ale nieswój trocha,  
Widocznie coś mu ciążyło na sercu.  
No... rzekłam sobie, myśli o kobiercu,  
Już ani chybi wyjdą zapowiedzi.

WOJSKI.

Więc się oświadczył?

PODSTOLINA.

A byliśmy sami,

Ale cóż... panicz w kącie sobie siedzi,  
Ani weź nawet pogawędzić z nami.  
Widno go humor jakiś trapi wilczy,  
Milczy, przebąknie słówko, i znów milczy.  
Wreszcie rzekł: „Jutro wyjeżdżam zaraniem.“  
„Dokąd?“ — „Pod Chocim, tam w dziesięć tysięcy  
Pan hetman idzie, a my dążym za nim“.  
Rzekł, wstał i poszedł.

PANNA URSZULA (wybuchając serdecznym płaczem).

I nie wrócił więcéj!

PODSTOLINA.

Snadź tam zapomni o biędnej Urszuli.

PANNA URSZULA.

Albo téż zginie od tureckiej kuli!

PODSTOLINA.

Taką to nam się odwdzięczył zapłatą.  
Teraz radź waszmość.

WOJSKI.

Cóż ja wskóram na to?

PODSTOLINA.

Żeby od niego choć zasięgnąć wieści,  
Bo to utratą nawet grozi cześci;  
Już na języki zewsząd wzięli biędą.  
Pisz waszmość.

WOJSKI.

A gdzie?

PODSTOLINA.

Do pana hetmana.

WOJSKI.

Ot co!

PODSTOLINA.

Że zdrada taka niesłychana!

WOJSKI.

Ba!

PODSTOLINA.

Tylko zaraz!

WOJSKI.

Wacpani wiész jedno,  
A ja wiem drugie, co wacpani w głowie?  
Czy na to pismo pan hetman odpowie?

PODSTOLINA.

Jakto?

WOJSKI.

On teraz ważniejsze ma rzecz  
Na karku. Gdy się kurta Turkom utnie,  
To wówczas...

PODSTOLINA.

Ależ on zdradził okrutnie!

PANNA URSZULA (placząc).

Okrutnie zdradził!

WOJSKI.

I któż temu przeczy?

Lecz w wojnie folgę daje się prywacie,  
Ani się sprawą zaprzęta niczyją.

PANNA URSZULA (zanosząc się od łez).

Więc ja mam czekać aż Turków pobiją?

PODSTOLINA.

Wy wszyscy tylko za sobą trzymacie.

WOJSKI.

Lecz....

PODSTOLINA.

Bo gdybyś miał waszmość w sercu Boga,  
Uzaliłbyś się nad skrzywdzoną cnotą  
I sambyś biędą wziął za żonę oto.

WOJSKI.

Ja!?

PODSTOLINA.

Tak, to nawet jedyna jest droga.

WOJSKI.

Ja mam się żenić?

PODSTOLINA.

Waszmość bądź egidą

Jéj....

## SCENA VIII.

Ciąż sami, PAN ROCH.

PAN ROCH (wpadając szybko na scenę).

Panie wojski!

WOJSKI.

Co?

PAN ROCH.

Tatarzy idą!

WOJSKI.

Jakto?

PAN ROCH.

Podobno są już pod Ostrogiem.

PODSTOLINA (powstając).

Gwałt!

PANNA URSZULA (powstając).

Gwałt!

PODSTOLINA.

Co począć?

WOJSKI.

Jechać sobie z Bogiem

PODSTOLINA.

Co? jakto? sama?

PAN ROCH.

Ot... kłopot niemały.

WOJSKI (do pana Rocha).

A daj im konwój, byle pojechały.

PAN ROCH (kiwając ręką).

Zaraz, już sam się zajmę tą posługą.

WOJSKI (odprowadzając obie panie do drzwi).

Żegnam.

(do pana Rocha).

A wróc waść.

PAN ROCH.

Powrócę niedługo.

(Dokończenie nastąpi.)

## HYMN.

Ojciec i Synu i Duchu święty!  
We trzech osobach Tyś niepojęty,  
Wszchemocny Boże!

Alfa-omega, to Twoja treść,  
W Najświętszej Trójcy składam Ci cześć,  
W ducha pokorze.

W ludzkiej postaci byłeś na ziemi,  
Aby nauczyć czynami swemi  
Prawdziwej wiary;

Ale napróżno Chrystus, Twój syn,  
Wcielić chciał kielich krwawej ofiary  
W świętości czyn.

Po zmartwychwstaniu zesłałeś Ducha,  
Chcąc świat połączyć, jak w splot łańcucha,  
Związkiem miłości.

Lecz świat ogarnął występny szal,  
Bo człek nie poznał, jak Chrystus chciał,  
Twojej mądrości.

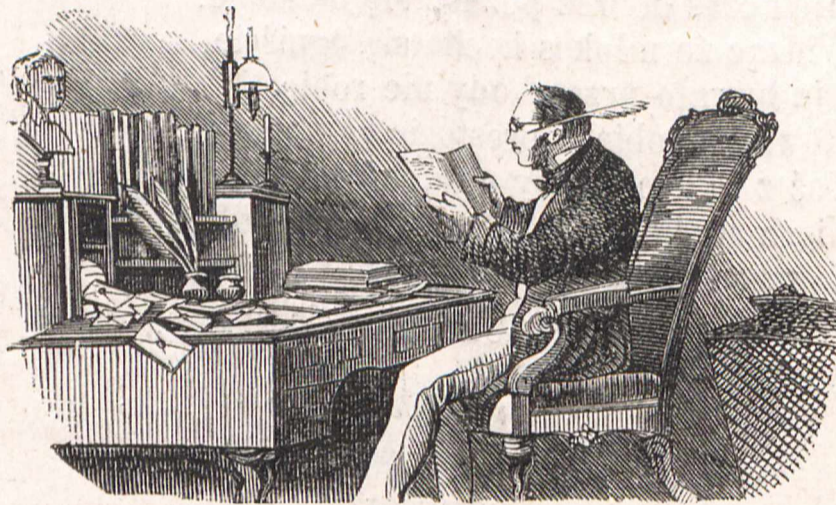
Niechaj Duch święty w siedem promieni  
Wstąpi w serc ludzkich skaliste progi,

A światłem swoim niech rozpromieni  
Ciemną pomrokę zbawienną drogi  
W kole ludzkości.

Niech człowiek uzna w człowieku brata,  
Niechaj dłoń z dłonią jedna myśl spleta  
W wieńce serdeczne.

A kiedy staniam w Twojej krainie,  
Niech na nas szczęście anielskie spłynie  
Na wieki wieczne!

F. R. .... cz.



Panu P. L. w Mińsku. Dziękujemy najprzejmiej za pamięć. Nadesłane wiersze wręczyliśmy według życzenia pańskiego redaktorowi kalendarza J. Ungra.

P. E. L. w Kielcach. Część powieściowa naszego pisma na długo bardzo jest zajęta.

P. D. M. w Tokarach. Nagrobek o którym mowa może kiedyś zamieścimy; ale lepszy daleko rysunek jego mamy we Wzorach sztuki średniowiecznej.

P. A. R. w Antonoszu. Ślicznie narysowany portret Walińskiego redakeya otrzymała, lecz użytku z niego zrobić nie może. O wizerunek Jundziłła, jeżeli autentyczny, upraszamy.

Litwinki w Petersburgu, które złożyły nam przedpłatę na 10 egzemplarzy dzieła K. Szajnochy p. n. Jadwiga i Jagiełło, raczą nadesłać listę imienną prenumeratorów, oraz dokładny adres, podług którego dzieło powyższe, po wyjściu z druku ma być przesłane.

P. Józefie B. z Kaliskiego. W wierszyku p. t. „Zbłąkany“ myśli pojedyncze są ładne; trudno jednak odgadnąć ogólne jego znaczenie, i dlatego zamieścić go nie możemy.

Panią Estkowską w Poznaniu prosimy o wskazanie nam dokładniejszego adresu, pod jakim numeru Tygodnika z życiorysem jej męża mają być przesłane.

P. F. St. w Krasnymstawie. Żałujemy bardzo że artykuł o szarańczy nieco się spóźnił. Przedmiot ten w Tygodniku był już dwukrotnie dotknięty.

P. A. W. w Dworzyszczach. Opowiadanie o którym mowa, autor włożył w usta starego rybaka, nie poręczając bynajmniej za drobnozgową prawdziwość szczegółów; prostować więc takowych nie widzimy potrzeby.

P. S. O. w Woli Świnieckiej. Artykuł o kościele w Świnicach udzielił nam proboszcz miejscowy, z dobrego więc pochodzi źródła. Zresztą mało, zdaniem naszym, zależeć może na tem, czy nazwano go kościołem, czy kościółkiem; czy całkowicie, czy częściowo wybudowany został ze składek parafian; czy był ubezpieczony lub nie w Towarzystwie Ogniwem i t. p.

## DONIESIENIA.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

G. GEBETHNERA

i spółki,

w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 415 w pałacu JW. hr. Stanisława Potockiego,

otrzymała następujące nowości:

Podróż króla Stanisława Augusta do Kaniowa w roku 1787, podług listów Kazimierza Konstantego hrabiego de Bröl Platara, opisana przez I. J. Kraszewskiego. Cena rs. 1. — Biblioteka podróży i malowniczo-histerycznych opisów różnych krajów, wydawana przez Adama Zawadzkiego, serya ósma, podróże humorystyczne: Amsterdam, Paryż, Wenecja, przez Arsena Houssaye. Cena rs. 1 kop. 35. — Pomyśły do dziejów życia świata, napisał Adam Chalupczyński. Cena rs. 1 kop. 80. — Album Pieni i Tatrów, przez Bogusza Zygmunta Stęczyńskiego. Cena rs. 2. — Ojciec nasz, na ośm nauk passyjnych rozłożony, tudzież przypowieści Chrystusowe w naukach passyjnych wykładane, przez kapłana obrz. Ormiańskiego, archidiecezji lwowskiej. Cena rs. 2. — O aktach stanu cywilnego, a w szczególności o terminach do ich sporządzenia przez J. Wyczechowskiego. Cena kop. 40. — Wytepienie robaictwa i myszy, pustoszących gospodarstwo leśne i polne, sposób najprostszy, ochrona zwierząt pożytecznych wedle skazówki zawartej w niemiecckim dziełku Dra C. W. L. Glogera, za pomocą najnowszych środków sztucznych, zebrał i do potrzeb krajowych zastosował z polecenia poznańskiego towarzystwa przyjaciół nauk Stanisław Szenie, doktor filozofii, członek towarzystw. Cena rs. 1. — Wspomnienia Polesia i Litwy, I. J. Kraszewskiego. Cena rs. 6. — Zasady kaznodziejstwa, czyli nauka opowiadania Słowa Bożego, oparta na podaniach i wzorach Pisma Świętego, ojców kościoła, poważnych pisarzy i najcenniejszych kaznodziejów polskich, przez ks. A. Lipnickiego, dwa tomy. Cena rs. 3 kop. 30. — Polskie stawowe gospodarstwo, napisane przez Zygmunta Gawareckiego i Albia Kohna, wraz z opisaniem porządku stawowego Stanisława Stojnowskiego z 74 figurami tak w tekście jak i na osobnych tablicach. Cena rs. 3. — Źródło pobożności czyli nabożeństwo codzienne na chwałę Boga i Najświętszej Maryi Panny. Cena kop. 75. — Nabożeństwo roczne dla chrześcijan katolików. Cena kop. 75. — Polska w pieśni, z księgi pierwszej: wojna obrzymów, Wyszmir, dwunastu wojewodów, przez Deotymę. Cena rs. 2. — Książka Kordecki w obronie Częstochowy w roku 1655, poemat historyczny przez F. Krajewskiego, (ozdobiony sześcioma rycinami) wydanie drugie. Cena kop. 60.

Taż księgarnia otrzymała od J. Priebatscha księgarza i nakładcy w Ostrowie, na główny skład dla Królestwa Polskiego i Cesarstwa Rosyjskiego: Mosbach A. Wiadomości do dziejów polskich z archiwum prowincji szląskiej. Cena rs. 2 kop. 40. — Xenofonta Hippika i Hipparch

czyli jazda konna i naczelnik jazdy, przełożył z greckiego Antoni Bronikowski. Cena kop. 37 i pół. — Górnicki Łukasz. Dzieje w koronie polskiej od r. 1538 do r. 1572. Cena kop. 45. — Orzechowski Stan. Kroniki. Cena kop. 67 i pół. — Orzechowski Stan. Żywot i śmierć Jana Tarnowskiego. Cena kop. 45. — Tasso Torquato, Godfred albo Jeruzalem wyzwolona, poemat bohaterski. Cena rs. 1 kop. 50.

Taż księgarnia otrzymała na skład główny nowo wyszłe dzieło pod tytułem: Ochronki wiejskie. przez A. G. Cena kop. 30.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów,

otrzymała następujące nowe dzieła:

Polska w pieśni, z księgi pierwszej: wojna obrzymów, Wyszmir, dwunastu wojewodów, przez Deotymę, Ska Warszawa 1860 r. Cena rs. 2. — Skarbiec dyplomatów papieżkich, cesarskich, królewskich, książęcych, uchwał narodowych, postanowień różnych władz i urzędów posługujących do krytycznego wyjaśnienia dziejów Litwy, Rusi litewskiej i ościennych im krajów, zebrał i w treści opisał Ign. Daniłowicz. Z pozgonnych rękopismów znajdujących się w bibliotece muzeum wileńskiego, wydał Jan Sidorowicz, tom I, 4ka, Wilno 1860 r. Cena rs. 4.

Poszyt 2 dzieła pod tytułem:

NAUKA PRAKTYCZNA JĘZYKA FRANCUSKIEGO ORAZ KONJUNGACJI,

wyszł z pod prasy.

Prenumerata do woli każdego zostawia się. Można tylko zapisywać i żądać na wszystkich urzędach i stacyach pocztowych już gotowe 1szy i 2gi poszyt, za opłatą za każdy poszyt na pocztę kop. 37; w Warszawie można dostać we wszystkich księgarniach po 30 kop. za poszyt, a tabella konjuncyj bezpłatnie dołącza się.

NAKLADEM

KSIĘGARNI KRAJOWEJ I ZAGRANICZNEJ

J. J. OKOŃSKIEGO

przy ulicy Miodowej Nr. 496.

Wyjdzie z końcem bieżącego miesiąca pierwszy zeszyt: Obrazu historyi powszechnej od najdawniejszych do najnowszych czasów. Dzieło z niemieckiego przerobione, przez Leona Rogalskiego. Wydanie drugie przejrane, poprawione i do roku 1860 doprowadzone. — Pre-

numerata na powyższe dzieło składać się mające z 5 tomów, a 10 zeszytów, oznacza się na rubli sr. 4 kop. 50, dla upłacających z góry, zaś rs. 5, dla upłacających częściowo, to jest przy pierwszym zeszycie rs. 1, a przy następnych po kop. 50, ostatni zeszyt 10 wydany zotanie bezpłatnie.

NAKLADEM KSIĘGARNI

i składu nut muzycznych

Józefa Kaufmann i spółki,

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 442, wprost odwachu

wyszł w tych dniach z druku

„ŻYCZENIE“

śpiew z towarzyszeniem fortepianu, muzyka i słowa Pauliny Fechner. Nabyć także można we wszystkich składach nut muzycznych tak tutejszych jak na prowincyi, a głównie u Hurtiga w Kaliszu i M. Orgelbranda w Wińie. Cena kop. 22 i pół.

Hernani Galop pour le piano par S. Tausig, dediée a Mademoiselle la Comtesse Hédwig Rozwadowska, litografowany w Lipsku, wyszedł nakładem tejże księgarni. Nabyć także można we wszystkich składach nut muzycznych tak w Warszawie jako i na prowincyi.

Zawiadamia się wszystkie osoby biorące na kredyt lekarstwa z apteki Jana Dąbrowskiego w Lublinie, po dzień 1 lipca 1860 r., iż podpisane sukcesorki zmarłego Jana Dąbrowskiego, upoważniły W. Stanisława Illustrowskiego Pa-

trona w Lublinie, do windykacji wszelkich z tego tytułu należności; osoby przeto dłużne w tej aptece, raczą się wcześniej zgłosić do W. Illustrowskiego Patrona z zapłatą należności, jeżeli chcą uniknąć prawnych poszukiwań.

Walerya Dąbrowska.

Teodora Dąbrowska.

Fryderyka z Dąbrowskich Maleszewska.

SYROP OWOCOWY

(extrait de fruits)

uśmierczający kaszle, chrypki i w ogóle wszelkie kataralne choroby płucowe, znany i powszechnie z wielką wziętością używany, w obecnej porze wyrabiam i sprzedaję takowy w cukiernej mej przy ulicy Długiej w Hotelu Polskim. Nie widzę potrzeby zachwalania tego wyrobu, najlepszym dowodem skuteczności smaku i dobroci jego, są proste i z największą czystością skomplikowane nader delikatne części esencji owoców południowych, mających prócz naturalnej i miłej słodyczy, właściwą sobie tylko lepkość, gojącą wszelkie zadrągnięcia lub zapalenia krtani i kanałów oddechowych. Tyloletnie zabiegi i usiłowania w udoskonaleniu syropu owocowego dały mi rezultaty najpożądane, i dlatego mam to przekonanie, że używającym go w razie słabości, ulgę przynieść zdołam, i jak dotąd tak i nadal cieszyć się będąc z widziałami Wysokiej Publiczności, o które się z szczerem poświęceniem ubiegam.

KALENDARZ

POPULARNO-NAUKOWY

JÓZEF A UNGRA

NA ROK 1861

rozpoczął się drukować. Panowie Przedsiębiorcy i Fabrykanci, którzyby życzyli sobie w tym Kalendarzu pomieścić

DONIESIENIA O SWYCH ZAKŁADACH, PRZEDMIOTACH HANDLU, LUB WYROBACH,

mogą już nadsyłać je do Drukarni Wydawcy tegoż Kalendarza, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu PP. Wizytek wprost Saskiego Placu pod Nr. 391.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W Drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 24 września (6 października) 1860 r. — Starszy cenzor, F. Sobieszczański.

Redakcja przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu PP. Wizytek Nr 391.